Nr. 23. Poznań, dnia 9 Czerwca 1907 r. Rok XI.

Abonament
wynosi kwartalnie:
na poczcie. . . 1,50
z odnoszeniem
do domu . . 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38.
Telefon Nr. 1465.
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Sądy rozjemcze w przemyśle a umowy taryfowe.

I.

Obecny ruch zarobkowy, rozwijający się w Niemczech, wykazuje, że mimo całego ustawodawstwa społecznego jeszcze daleko do tego, by zrozumiano, że po za strejkami są jeszcze inne, pokojowe drogi, na których zatargi między pracodawcą a pracobiorcą załagodzone być mogą. Tym drogom, a raczej sposobom chcemy uwag kilka poświęcić, raz, że jesteśmy o ich korzystnych skutkach przekonani, a powtóre i dla tego, że ułatwią one zrozumienie ich potrzeby wobec takich objawów walki zarobkowej jak lokaut łódzki i obecny lokaut berliński w przemyśle budowlonym.

Chcemy zwrócić uwagę na sądy rozjemcze w przemyśle a umowy taryfowe.

Idea sądów rozjemczych jest mimo wszelkich pozorów nowożytności już starej daty. Spotykamy ją bowiem już tu i owdzie w 14-tym, a nawet 13-tym wieku.

Że nie przyjęła się, że o niej zapomniano, wina ówczesnych ścieśnionych warunków społecznych, owej uporczywej walki czeladzi z majstrami, patrzących zawistnem i podejrzliwem okiem na rosnącą siłę i powagę młodych.

Nowoczesny rozwój przemysłu i uwarunkowany nim ostry rozdźwięk między pracodawcą, a pracobiorcą przybierał coraz szersze kręgi. Nieodłączne bezrobocia tamowały pracę produktywną i oddziaływały niekorzystnie i na produkcyę i na materyalne położenie kapitalistów, a szczególnie robotników.

Anarchię tę odczuwała oczywiście najdotkliwiej Anglia, gdzie przemysł rozwijał się w nader szybkiem tempie. By jej zapobiedz, zaprowadził wybitny przemysłowiec angielski *Mundella* i niezależnie od niego sędzia pokoju *Kettle* w szóstym dziesiątku ubiegłego wieku w swoich okręgach rodzaj sądów rozjemczych. W razie grożącego między stronami konfliktu schodziło się kilku przedstawicieli pracodawców i pracobiorców, wybranych w tajnych wyborach odnośnych sfer; przewodniczący wychodził z ich grona (u Kettle'a ze sfer „bezpartyjnych''). Zadaniem sądów było ułożenie warunków dalszej pracy i zapobieganie możliwym nieporozumieniom na tle powyższych warunków. Wyrok sądu obowięzywał obie strony, temwięcej, że obie były do tego kontraktownie zmuszone.

Instytucye te znalazły przychylny oddźwięk w kołach przemysłowych; w krótkim czasie pokryła się cała Anglia siecią powyższych sądów, tembardziej, że rząd forytując je, nadał organizacyom robotniczym w roku 1871, prawa korporacyjne, a w następnym roku zobowiązał na drodze prawodawczej tak robotników jak i pracodawców do załatwiania wszelkich nieporozumień przed sądami wymienionego typu. Prawo z r. 1896 upoważniło w końcu departament handlowy do zakładania sądów rozjemczych, nakładając mu równocześnie obowiązek regulowania sprzecznych i spornych interesów odnośnych stron.

Nie będziemy podawali zbyt szczegółowych danych, zaznaczyć trzeba nam tylko, że sądy te rozwijają się, szczególnie pod egidą departamentu, nader korzystnie.

Liczba strejków zmniejszyła się; w niektórych obwodach prawie znikła.

Przeciwnie ma się w Niemczech. Tu sądy powyższego rodzaju nie przyjęły się jeszcze, mimo, iż zainteresowanie niemi wzrasta.

Już w roku 1873-cim kongres Stowarzyszenia dla polityki społecznej (Verein für Socialpolitik) zajmował się tą sprawą. Głównymi zwolennikami i szerzycielami idei o sądach rozjemczych byli znani *dr. Max Hirsch* i prof. *Lujo Brentano*. Mimo to po za Stowarzyszeniem zajęcie w sferach interesowanych było nikłe. Jedynie Związek drukarski poczynił w tym kierunku pewne kroki. Usiłowania dają mimo różnych trudności i ewolucyi według zdania radcy handlowego *Büxensteina*, przewodniczącego Związku, rezultaty dodatnie.

Prawo rzeszy z roku 1890-go przyznaje funkcye sądu rozjemczego *sądom procederowym*. Partye wysyłają delegatów; przewodniczącym bywa osoba „bezpartyjna,'' często, szczególnie w wielkich miastach przy rozgałęzionym przemyśle, nie mająca dokładnej znajomości o danym wypadku. Pertraktacye muszą być opublikowane, by opinia publiczna mogła przekonać się o dobrej względnie złej woli stron zainteresowanych.

Sądy powyższe nie cieszą się z różnorakich przyczyn zbyt wielkiem powodzeniem. Statystyka ostatnia (za rok 1904) podaje tylko 163 wypadków, w których sądy procederowe działały jako sądy rozjemcze.

Większem uznaniem cieszą się sądy rozjemcze, powstałe na mocy nowelli z roku 1897. Upoważnia ona cechy do zakładania sądów celem załatwiania sporów między majstrami a pomocnikami i robotnikami. Wyroki sądów stają się *prawomocnemi*, o ile strona niezadowolona nie poda w przeciągu miesiąca skargi do sądu zwyczajnego.

Pozatem zmusza prawo z 1-go stycznia 1902-go roku związki komunalne, liczące ponad 20 000 ludności do powoływania do życia sądów procederowych (62). Sąd ten może przy zatargach o warunki dalszej pracy względnie ukoń-

czenie strejku funkcyonować jako sąd rozjemczy. W razie grożącego strejku może przewodniczący, o ile mu się *uda*, spowodować strony do przedłożenia swoich skarg i życzeń. W danym razie ma prawo skazania na grzywnę w wysokości 100 mrk. za nieprzybycie na sprawę. Warunki ugody jak i przyczyny niedoszłej zgody muszą być opublikowane celem poinformowania szerszej publiczności, która, jak wiadomo, zajmuje się w ostatnich czasach nader żywo zatargami roboczemi (ostatni wielki strejk górniczy we *Westfalii*, strejk budowlany w *Poznaniu*, obecny lokaut w *Berlinie*.)

Rozpisaliśmy się szerzej o rozwoju sądów rozjemczych i w Anglii i w Niemczech, mniemając, że, o ile angielskie są ciekawe jako pierwowzory, niemieckie próby dla nas o tyle mają znaczenie, że i my podlegamy wszelkim przepisom wydawanym dla rzeszy. Łamy pisma naszego nie pozwalają niestety na omówienie nader ciekawych stosunków w innych krajach, a szczególnie w Australii.

Nowa faza strejku szkolnego.

Strejk szkolny w nową wchodzi fazę rozwoju.

Kilka gmin postanowiło zawiesić *na razie* strejk. Nic uczyniły tego jednakże cicho; przeciwnie wysłały na list odnośnego inspektora szkolnego odpowiedź, która jest zarazem *uroczystym protestem* przeciw udzielaniu religii w nieojczystym języku.

Brzmi on:

List otwarty
katolickich gmin szkolnych:
Chojno, Golejewo i Sworowo
w powiecie rawickim do królewskiego powiatowego inspektora szkolnego p. *Jonetza* w Rawiczu tej treści:

W. Pan

wezwałeś nas niżej podpisanych ojców odnośnie matki gmin szkolnych Chojna, Golejewa i Sworowa dnia 20-go maja r. b., abyśmy cofnęli zakaz wydany dzieciom naszym, żeby nie odpowiadały po niemiecku w nauce religii, aby „oszczędzić sobie dalszych szkodliwych skutków strejku szkolnego.“ Jeżeli W. Pan dalej sądzi, że przez podtrzymanie naszego zakazu stajemy się winnymi oporu przeciw władzy państwowej, to przeciwko takiemu tłumaczeniu naszego postępowania musimy *stanowczo protestować!* Wiemy dobrze, co winni jesteśmy państwu i obowiązki nasze wobec niego spełniamy; skąd jednak nasza władza szkolna czerpie prawo do narzucenia nam i naszym biednym dzieciom takiego *przymusu sumienia* w państwie „konstytucyjnem,“ tego pojąć nie możemy!

Nasze dawniejsze prośby i protesty przeciwko zaprowadzeniu niemieckiej nauki religii wrzucono do kosza! *Nigdy nie godziliśmy się i nie godzimy się na to, żeby dzieci nasze nauczano religii w języku dla nich obcym*, i żeby nadto nauka religii odbywać się musiała bez wszelkiego dozoru naszej prawowitej władzy duchowej, *lecz dozorowaną była przez W. Pana jako innowiercę.*

Czyż może ktokolwiek odmówić nam tego prostego prawa ludzkiego, na podstawie którego *żądamy, aby szkoła*, która kosztuje nas dzisiaj tyle ciężko zapracowanego grosza własnego, doprowadziła dzieci nasze w *języku ojczystym* przynajmniej tak daleko, żeby później z obczyzny umiały do rodziców napisać list po polsku? Ale nawet tego osięgnąć nie możemy. Jesteśmy chętnie za tem, aby dzieci nasze nauczyły się dobrze po niemiecku, jeżeli jednak władza szkolna chce nam narzucić język niemiecki z taką bezwzględnością i nie obawia się nawet wnikać w życie duchowe naszych dzieci w sposób *sprzeciwiający się zupełnie zasadom naszego Kościoła katolickiego*, wobec tego władza szkolna naszemu obecnemu postępowaniu i zaka-

Naród Polski
pod obcem panowaniem.

51) Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Ziemie wielkopolskie, zajęte w drugim podziale Polski r. 1793, tworzyły do r. 1806 tak zwane *Prusy Południowe* ze stolicą Warszawą. Z tych ziem w r. 1807 utworzone zostało Księstwo Warszawskie, a po upadku Napoleona I. dawna właściwa Wielkopolska, będąca zachodnią częścią Księstwa Warszawskiego, przeszła w ręce pruskie (r. 1815) pod nazwą *Wielkiego Księstwa Poznańskiego.* Obszar tegoż wynosi 29,000 kilometrów kwadratowych (ok. 522 mil polsk. kwadr.) [1]) a odpowiada dawnym polskim województwom: Poznańskiemu, Gnieźnieńskiemu, części Kaliskiego, Brzesko-Kujawskiego i Inowrocławskiego. Głównem miastem jest Poznań, leżący po obu stronach średniego biegu żaglownej Warty, pobocznej Odry. W tem mieście, liczącem dzisiaj 140,000 mieszkańców, skupia się całe życie W. Księstwa.

Po Kongresie Wiedeńskim zajął W. Księstwo Poznańskie w imieniu króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, generał Thümen i, mianowany naczelnym prezesem tegoż Księstwa, właściciel dóbr Wieruszowskich, „współobywatel“ Zerboni di Sposetti.

— Zapewniam was, — mówił Fryderyk Wilhelm III do Polaków przy objęciu kraju (15 maja 1815 r.) — że, *chociaż wcieleni do Prus, nie straciliście ojczyzny i jako dowód mego szacunku za wasze do niej przywiązanie, posiadacie ją i nie potrzebujecie wyrzekać się swojej narodowości! Zachowana będzie wasza religia, otrzymacie opiekę praw dla waszej własności, i nad prawami temi sami radzić będziecie; język wasz we wszystkich czynnościach publicznych ma być używany i każdy z was ma mieć przystęp tak do urzędów Wielkiego Księstwa, jakoteż do urzędów i godności całego naszego państwa pruskiego.* Namiestnik mój pośród was zrodzony mieszkać będzie pomiędzy wami, znać będzie wasze życzenia i potrzeby, a da wam poznać zamiary mojego rządu.

A ten namiestnik królewski, którym został Antoni ks. Radziwiłł, ze swej strony przemawiał później do narodu (3 sierpnia):

— Obywatele, zachowacie wasz język polski i wasze obyczaje, drogą po przodkach spuściznę!

A obywatele pocieszali się:

— Złożyliśmy przysięgę polską naszemu księciu Poznańskiemu, zapewniającą nam, iż bronić będziemy tej części Polski, która pozostała naszą ojczyzną!

A członkowie deputacy, z przewodniczącym jej Brezą, ministrem Księstwa Warszawskiego, która dążyła do Charlottenburga [2]), tak podnosili znaczenie swej podróży:

— Jedziemy do króla pruskiego, który jest naszym

[1]) Mila polska = 5 kilometr. 564 metr.; mila austr. = 7 kilometr. 586 metr.

[2]) *Charlottenburg* (czytaj: Szarlottenburg), miasto w pruskiej regencyi Potsdamskiej, o milę na zachód od Berlina nad rzeką Sprea, ma 200,000 mieszk. Jest tam letni pałac królewski ze sławnymi grobowcami król., z ogrodami i wspaniałym parkiem, a także słynna akademia techniczna.

sowi udzielonemu dzieciom naszym dziwić się nie może.

Postępowaniem władzy szkolnej czujemy się jak najgłębiej dotknięci i zastrzegamy się raz jeszcze przeciwko temu, aby nasze dotychczasowe postępowanie w sprawiedliwej walce o nasze prawa charakteryzowano jako opór przeciwko władzy państwowej.

Że w tej dla nas tak świętej sprawie zasadniczej, jaką jest religia i język ojczysty, nie obawiamy się kar władzy silniejszej, inaczej myślącej i *opierającej się jedynie na swojej sile*, pokazywaliśmy dostatecznie przez ośm *miesięcy*, i nie obawa przed karą zniewoli nas do cofnięcia zakazu dzieciom naszym wydanego; oświadczamy jednak niniejszem W. Panu, że mimo to z dniem dzisiejszym *zakaz ten na razie cofamy, aby i władzy szkolnej ze swej strony umożliwić ustępstwo;* i ponieważ mamy nadzieję, że teraz, skoro dobrze jest poinformowaną o naszych przekonaniach i uprawnionych życzeniach, nie może na przyszłość pozostawić ich bez uwzględnienia i nie będzie nadal wywierała na nas dotychczasowego przymusu sumienia.

Chojno, Golejewo, Sworowo
31-go maja 1907 r.

W. Pana uniżeni

1. Ojcowie gmin i obwodów dominialnych Chojna i Podborowa.
2. Ojcowie gmin i obwodów dominialnych Golejewka, Golejewa i Ostrobudek.
3. Ojcowie gmin Sworowo i Drogi.

(Następują 83 podpisy).

Dając w nim wyraz *moralnym swym przekonaniom, które żadnej nie uległy zmianie*, wskazały owe gminy, a raczej ojcowie, podpisani pod powyższy protest, drogę, po której z honarem i z dumnie podniesionem czołem wyjść może i reszta z walki o język ojczysty.

I rząd pruski ma obecnie drogę wyjścia. Społeczeństwo, ulegając jego przemocy *materyalnej, nie wychodzi zwyciężone*. Wobec niego stoi jak *zwycięzca moralny*. Rząd to dobrze odczuwa. To też dla niego obecnie czas, by poznawszy dzięki strejkowi szkólnemu prawdziwe usposobienie społeczeństwa naszego, wszedł na drogę racyonalnej pedagogiki; czas na niego tem większy, że wiążą go oświadczenia ministrów i innych oficyalnych czynników, wygłoszone bądź to z trybuny sejmowej, bądź to od zielonego stolika kancelaryi rządowej.

Nie łudzi się pewnie rząd, że społeczeństwo nasze, przeczulone obecnem przejściem, bacznem śledzić będzie okiem dalszy rozwój sprawy szkolnej u nas.

Pozatem wie dobrze, że społeczeństwo ma drogi i środki prawne, by nielegalne germanizacyjne zapędy *pohamować*, jeżeli nie *utrudnić*.

Memoryał mecenasa Osuchowskiego.

(Własna korespondencya „Pracy".)

Warszawa, 3 czerwca.

Memoryał, złożony przez prezesa *Macierzy Polskiej* mecenasa Ant. *Osuchowskiego* jeszcze w kwietniu Kołu Polskiemu w Petersburgu, a teraz dopiero podany w pismach warszawskich do publicznej wiadomości, daje nam obraz wielkiego rzeczywiście rozwoju Macierzy i nie mniejszych trudności ze strony rządu, jakie ta nasza instytucya narodowa ma do zwalczania.

Z memoryału mecenasa Osuchowskiego dowiadujemy się, że Polska Macierz Szkolna w ciągu nie spełna roku bo od lipca r. z. pod sztandarem pracy nad oświatą ogółu zszeregowała do 200 tysięcy członków, którzy zdołali utworzyć przeszło 800 gniazd oświatowych czyli t. zw. „Kół Macierzy" rozszerzonych po całem Królestwie Polskiem. Już sama ta imponująca liczba członków, z której słusznie dumni jesteśmy, wskazuje na powszechny, ludowy charakter Macierzy Polskiej. Istotnie, obok inteligencyi z natury rzeczy nawet u nas w Królestwie Pol.

---

wielkim księciem Poznańskim, ażeby temu panu naszemu hołd należny złożyć! (17 czerwca 1815 r.).

Dnia 12 Lipca r. 1815 wydał król pruski patent, którym odnowił uczynione niedawno zapewnienia, że *zachowany zostanie język polski w postępowaniu sądowem, że przy obsadzaniu urzędów sądowych uwzględnieni będą urzędnicy narodowi, a prezesowie sądów wybierani z krajowców i obywatelom pozostawiony będzie wolny wybór Landratów* (radzców ziemskich, naczelników powiatowych).

Więc zrazu cieszyli się niektórzy Polacy:

— Ha mamy naczelnika rządu Polaka, Antoniego księcia Radziwiłła!

— No i mamy odrębność księstwa, a na znak tego dawny nasz herb, białego orła!

— A także tworzy się już osobna dywizya polsko-pruska!

Ale im odpowiadali mniej zadowoleni:

— Nasz naczelnik, książę Radziwiłł, jest spowinowacony z wrogim nam domem królewskim![1]).

— A białego naszego, czystego orła, ledwo że widać, taki maleńki i rozpięty na piersi wielkiego, czarnego dwugłowego orła pruskiego!

— I my nie chcemy takiego wojska polsko-pruskiego młodzież nasza do takiej dywizyi wstępować nie będzie!

Na wzór Austryi zaprowadzono w całem państwie pruskiem, a więc i w Księstwie Poznańskiem tak zwane *Stany prowincyonalne*, z bardzo ograniczonym zakresem działania (w r. 1823). Takie *Stany* czyli *Sejm Poznański* składał się z 26 posłów szlacheckich, 16 miejskich, 8 włościańskich, lecz miał tylko głos doradczy w rządach i prawo wnoszenia próśb. O tyle jednak wyżej stanęły Prusy od Austryi, że już w r. 1817 zniesione zostało w ich państwie poddaństwo włościańskie, a w r. 1823 otrzymali oni na własność role, które dotąd uprawiali. W r. 1821 ustanowione zostało arcybiskupstwo Poznańsko-Gnieźnieńskie.

Wkrótce Prusy zaczęły gwałcić i łamać najważniejsze warunki i przyrzeczenia uczynione Polakom i wracać począł dawny system prześladowania i ucisku. Tracili szybko, jeden po drugim posady dawni urzędnicy polscy Księstwa Warszawskiego, ustępując miejsca Niemcom. Ograniczony został bardzo język polski w szkole, urzędzie i sądzie i w wybornych szkołach Księstwa Warszawskiego zaczęli Niemcy zajmować posady. Założone zostało Towarzystwo kredytowe w celu wydziedziczenia Polaków z ich ziemi.

Gwałcąc najszacowniejszy warunek oderwano od Księstwa do starych Prus zawiślańskie ziemie chełmińską i Michałowską, a zastąpiono je nigdy nie ziszczoną nadzieją przyłączenia powiatów Wałeckiego i Kamienieckiego[2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Radziwiłł* ks. Ant. Henr., syn Mikołaja wojew. wileń., urodzony w Wilnie r. 1775, od najmłodszych lat życia kształcił się na dworze Berlińskim, gdzie zaślubił (w r. 1796) księżnę Fryderykę Ludwikę, córkę ks. Augusta Ferdynanda prusk., stryja króla Fryderyka Wilh. II. Był Ordynatem na Nieświeżu i Ołyce. Wielce uzdolniony muzyk i kompozytor a także matematyk. Mieszkał w Poznaniu lub Berlinie, w którym umarł w roku 1833.

[2]) Lewicki, 418; Morawski, VI, 222,223; Encyklop. Macierzy Pols. Lwów, 1906.

stosunkowo niezbyt licznej, główne kadry członków Macierzy stanowi warstwa drobno mieszczańska, następnie robotnicy fabryczni i przedewszystkiem włościanie.

Tłumny ten napływ warstw ludowych daje Macierzy murowany podkład do przyszłej działalności i czyni z niej instytucyę nietylko z zadań, jakie sobie zakreśliła, ale i na tę swą powszechność — istotnie narodową.

Macierz Polska w zakresie swych prac ma zakładanie szkół wszelkiego stopnia, ochronek, bibliotek i czytelni, domów ludowych, urządzanie odczytów, pogadanek, kursów nauki dla dorosłych analfabetów i t. p.

Ze szczególnym — można powiedzieć — impetem Koła Macierzy rzuciły się przedewszystkiem do zakładania szkół, głównie początkowych i to tak dalece, że niektóre Koła prowincyalne, zwłaszcza po wsiach zostały zawiązane wyłącznie pod hasłem utrzymania szkoły. Włościan pociągnęła do Macierzy głównie nadzieja zdobycia bliskiej szkoły tem dla nich milszej, że polskiej i że pod ich bezpośrednią kontrolą będącej.

Ogółem w ciągu ubiegłych 10 miesięcy swego istnienia Zarząd główny Macierzy zwracał się do rządowych władz szkolnych o zatwierdzenie 1156 szkół, powstałych trudem i kosztem członków Macierzy.

Z tych rząd ulegalizował dotychczas zaledwie 585 szkół, inne zaś albo istnieją na łasce i nielasce miejscowych urzędników niższego stopnia lub pod grozą zamknięcia czekają swej kolei, marnując z łaski biurokracyi drogi czas, ludzi i środki.

Głównym powodem zwłoki w zatwierdzeniu szkół Macierzy jest niechęć biurokracyi rosyjskiej, a mianowicie tutejszego szefa szkolnictwa rządowego do prywatnych szkół polskich, specyalnie zaś do szkół Macierzy. Warszawski kurator okręgu naukowego p. *Bielajew* swą niechęć ubrał nawet w osobne normy, które stosuje wbrew wyraźnym przepisom prawa i nawet wbrew urzędowej opinii swego zwierzchnika — ministra oświaty, który zresztą — obyczajem rosyjskim — w drodze półurzędowej tendencye Bielajewa niezawodnie popiera.

Szykany biurokratyczne idą w trzech kierunkach: nie zatwierdza się wogóle szkół polskich w unickich dawniej powiatach guberni siedleckiej i lubelskiej, ażeby ludności miejscowej „nie polonizować,“ nie zatwierdza się szkół początkowych Macierzy tam w pozostałych okolicach Królestwa, gdzie już istnieje szkoła rządowa, wreszcie nie dopuszcza się do otwarcia szkoły ze względu na polityczną „nieprawomyślność“ nauczyciela.

Te szykany, obliczone na zniechęcenie ludu do Macierzy, podyktowane przez nienawiść dożywających dobre czasy rusyfikatorów, ostro skarcił 18-go maja w Dumie poseł *ks. Gralewski,* wśród powszechnych oklasków całej Izby i wymownego milczenia ministra oświaty *Kaufmana.* A że one nie zniechęciły wcale społeczeństwa do Macierzy i nie ostudziły ani zapału do pracy oświatowej, ani ofiarności na jej cele, najlepsze świadectwo stanowi wysokość składek daru narodowego 3-go maja, które według dotychczasowego rachunku już sięgają pokaźnej zaiste liczby 200 tysięcy rubli! *Z.*

Listy lwowskie.

Lwów, 2 czerwca.

(Po wyborach.)

Przeszliśmy przez ogień pierwszych wyborów, opartych na powszechnem głosowaniu.

Poniżej podajemy wykaz posłów wedle stronnictw politycznych, tu rzucimy garść uwag, jakie się nasuwają.

Sposób przeprowadzenia wyborów nie uległ zmianie. Przy wyborach poprzednich, kuryalnych — wiadomo powszechnie — działy się rozmaite nadużycia, wybory nigdy prawie nie były „czyste“. Obecna ustawa wyborcza bardzo pięknie mówiła o czystości wyborów; ale rzeczywistość prawu zaprzeczyła. Agitacya rozsrożyła się zaciekła; terror był niebywały, korrupcya, przekupstwo dochodzące do ostateczności.

Przy wyborach kuryalnych prawyborcy wybierali wyborców, a ci głosowali na posła. Agitacya ograniczała się głównie do tych ostatnich. Kto zjednał ich sobie, był pewien mandatu. I jeśli była korrupcya, jeśli była de-

(Przedruk wzbroniony.)

Wielka i mała Maryanna.

Paweł Albers.

Górnośląska nowelka tłomaczona z niemieckiego przez Empę.

Te dwie Maryanny nie mogły się zgodzić. Zazdrosnem i nienawistnem spojrzeniem spoglądały na siebie — jak dwie rywalki, lecz mężczyzna nie był powodem tej zazdrości i nieustannych a męczących zaczepek i przycinków. Co więc było przyczyną tej cichej a zaciętej walki pomiędzy „wielką i małą“ Marjanną? Otóż czworo dzieci — dzieci ich państwa. A było to tak:

„Wielka“ Marjanna już od kilku lat opuściła dom naszych rodziców. Poszła za mąż do sąsiedniej wsi, i to, jak ludzie mówili, nie bardzo szczęśliwie. Bo mąż jej pił bez upamiętania. Pomimo jednak, że już u nas nie służyła, uważała się zawsze jeszcze za członka naszej rodziny. Wykołysała nas wszystkich, nawet najstarszego brata, który obecnie był już na uniwersytecie, i strzegła nas, jak oka w głowie.

Mówiła nam zawsze jeszcze „ty“ i nazywała nas swemi dziećmi. Co niedzielę przychodziła do nas z swej wsi, odległej o $1^1/_2$ mili, aby nas chociaż zobaczyć, i tej rozrywki niedzielnej nie byłaby się za nic w świecie wyrzekła, nie dbając wcale o to czy deszcz padał, czy śnieg leżał na ziemi.

Jeżeli pogoda była po temu, wychodziliśmy jej o jaki kwadrans drogi naprzeciwko, aż do tak zwanej doliny. Zaledwie spostrzegliśmy ją zdaleka, pędziliśmy do niej, jak wicher i wnet znajdowaliśmy się, moje siostry i ja w objęciach starej, brzydkiej żony górnika, całując serdecznie jej zwiędłe, ospą zeszpecone policzki. W naszych oczach była ona piękną, piękniejszą, niż Venusz Milo, i w dziecięcych naszych sercach zajmowała niepoślednie miejsce.

Ale na to była też bardzo dumną, co się zowie! Musiała nam opowiadać jak najdokładniej, jak jej się wiodło w minionym tygodniu, co każdego dnia gotowała na obiad — a nietrudno to było spamiętać: dziś kartofle i kapusta, jutro kartofle i śledź, pojutrze kartofle i kapusta i t. d. i musiała powiedzieć, czy „grobelacki“ jej mąż często się upił i czy ją znowu bił? Poczciwa dusza śmiała się zawsze przy naszem ostatniem pytaniu, mówiąc, że górnośląski górnik nie kochałby żony, gdyby jej raz po raz nie wybił.

Przed dwoma laty opowiadała nam też jeszcze o swoim chłopcu, o Karliczku. Ale od czasu gdy umarł na krup i leżał cichy na cmentarzu, nie było naturalnie już nic do opowiadania o nim. Teraz miała już tylko nas, i do nas jedynie ciągnęło ją jej serce, żadne miłości!

Taką była nasza „wielka Marjanna.“

Rywalką jej zaś była Marjanna, sięgająca głową ledwie jej ramienia i dla tego przez nas „małą“ zwana. Zajmowała ona od kilku lat u nas stanowisko kucharki, i pomna słów św. Apostoła Pawła „żenić się jest dobrze — nie żenić jeszcze lepiej,“ postanowiła za mąż nie wychodzić. Więc i pod

prawacya życia publicznego, ograniczała się tylko do kilkudziesięciu lub kilkuset wyborców. Tych demoralizowano. A obecnie odnosi się to wszystko do ogółu kilku, kilkunastu lub kilkudziesięcio tysiącznego. Lud, jak ostatnie wybory widocznie wykazały, jest ogromnie niedoświadczony politycznie i społecznie. I zamiast uświadomienia politycznego ostatnie wybory rozsiały szaloną demoralizacyę. Terror, doprowadzający niekiedy do krwawego rozlewu krwi, a nawet do mordów, co miało miejsce w Horucku, gdzie w walce dwu kandydatów ruskich padły cztery trupy, rozpijanie wyborców, przekupstwo — fałszowanie kart legitymacyjnych — to wszystko widoczne było jak dawniej, tak teraz. Słusznie tedy rzekł jeden z publicystów lwowskich: „trzech rzeczy do wyborów trzeba koniecznie: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy, tylko więcej, niż dawniej“. W istocie żadne wybory nie pochłonęły tyle pieniędzy, co ostatnie: agitacya bardzo ożywiona i kupowanie głosów (co było na porządku dziennym) wydarły kandydatom sporo grosza.

Ilościowo przedstawiają się wybory następująco:

Centrowcy 15: Dobija, Maciej Fijak, ks. St. Hanusiak, ks. dr. Adam Kopyciński, Marek Łuszczkiewicz, ks. Zygmunt Męski, Antoni Pawluszkiewicz, ks. Leon Pastor, Stan. Potoczek, ks. Saturnin Rzeszódko, Stan. Stehandel, ks. St. Stojałowski, Tomasz Szajer, ks. Andrzej Szponder, ks. dr. Michał Żyguliński.

Demokraci 6: Dr. Wł. Dulęba, dr. Henryk Kolischer, dr. Natan Loewenstein, dr. Godzimir Małachowski, dr. Walenty Staniszewski, inż. Edmund Zieleniewski.

Demokraci narodowi 16: dr. Roger Battaglia, dr. Stanisław Biały, dr. Józef Buzek, dr. Leon Dietzius, Bartłomiej Fidler, dr. Ludomir German, Rudolf Gall, dr. Stan. Głąbiński, dr. Józef Gold, dr. Wincenty Jabłoński, Kazimierz Obertyński, dr. Józef Ptaś, dr. Franciszek Tomaszewski, Wojciech Wiącek, Jan Zamorski, Jan Zarański.

Demokraci postępowi 4: dr. Stan. Łazarski, dr. Ignacy Petelenz, dr. Tadeusz Sikorski, inż. Paweł Stwiertnia.

Konserwatyści 12: Dawid Abrahamowicz (wybrany 2 razy), dr. Leon Biliński, dr. Michał Bobrzyński, dr. Franciszek Bujak, dr. Wład. Czaykowski, dr. Wojciech Dzieduszycki, dr. Witołd Korytowski, dr. Włodz. Kozłowski, ks. Andrzej Lubomirski, Stefan Moysa-Rosochacki, dr. Stan. Staszyński, Eust. Zagórski.

Ludowcy 16: J. Bojko, A. Bomba, Tom. Ciągło, Jan Harnek, Józef Jachowicz, Fran. Krempa, Jakób Madej, Fran. Mleczko, Mich. Olszewski, Ant. Paduch, A. Rübenbauer, Jan Siwula, Andrzej Sredniawski, Józef Staniszewski, Jan Stapiński, Fran. Wójcik.

Socyaliści 4: dr. Herman Diamand, J. Hudec, dr. Herman Lieberman, Jędrzej Moraczewski.

Dziki 1: Ernest Breiter.

Ruscy socyaliści 2: J. Ostapczuk, Semen Wityk.

Żyd niezawisły: dr. A. Gross.

Syoniści 3: H. Gabel, A. Mahler, A. Stand.

Rusini ukraińscy 15: W. Budzynowski, G. Cegliński, dr. Stan. Dniestrzański, ks. J. Folis, dr. A. Kolessa, dr. Konst. Lewicki, dr. Eug. Lewicki, dr. Eug. Oleśnicki, dr. Wł. Ochrymowicz, dr. T. Okoniewski, ks. St. Onyszkiewicz, dr. Eug. Petruszewicz, J. Romańczuk, dr. Daniel Stachura, ks. T. Wojnarowski.

Dziki Rusin: T. Staruch.

Rusini radykali 3: dr. L. Baczyński, M. Petrycki, dr. Cyryl Trylowski (2 razy wybrany).

Rusini moskalofile 5: ks. B. Dawydiak, dr. M. Hlibowicki. dr. M. Korol, dr. D. Markow, dr. Włodz. Kuryłowicz.

Dwukrotnie wybrani: D. Abrahamowicz i C. Trylowski złożą po jednym mandacie, a w ich miejsce wejdzie A. Maślanka (dem. nar.) i soc. ruski dr. Nowakowski.

Koło Polskie liczyć będzie około 55 posłów, nie biorąc pod uwagę ludowców, którzy prawdopodobnie utworzą klub odrębny. Nie chcą oni zgodzić się na bezwzględną solidarność Koła. A siła Koła właśnie polega na jego bezwzględnej solidarności. I lepiej (?) też będzie, gdy Koło zrezygnuje

---

tym względem i w wysokości i tuszy, różniła się od swej poprzedniczki, ale w miłości do nas dorównywała jej zupełnie. I to było właśnie powodem ich wzajemnej, głębokiej nienawiści.

Ale my dzieci kochałyśmy obiedwie — którą z nich więcej, tegośmy nie wiedziały same. Czasem zadawałyśmy sobie to pytanie, jak zagadkę.

W niedzielę, gdy po obiedzie „wielka“ Marjanna przychodziła, znikała nasza „mała“ natychmiast. Jeżeli na dworze było ciepło, biegła do lasu, jeżeli padało, zamykała się w swojej komorze i nie wychodziła dopóty, dopóki „powietrze nie było znowu czyste.“ Zarzuty mojej matki nic nie pomagały i w końcu przyzwyczaili się wszyscy do tego hardego postępowania, łagodnej zwykle i posłusznej Marjanny.

Pewnej niedzieli nie przyszła nasza „wielka.“ Od niepamiętnych lat zdarzyło się to po raz pierwszy, i nawet nasz ojciec, który nigdy się o służbę nie starał, był nieco zaniepokojony.

— Musiało jej się coś przytrafić, — zauważył lakonicznie.

I rzeczywiście — przytrafiło jej się to — co się raz wszystkim śmiertelnikom przytrafia — Marjanna leżała cicha i biała na swem łożu śmiertelnem. Wierne serce przestało bić — mąż jej siedział w karczmie i pił.

Upił się dziś więcej nawet, niż zwykle, bo potrzebował „kurażu.“ Bał się spać obok trupa w komorze. Poczciwa jego żona nie wyrządziła mu za życia żadnej krzywdy, a teraz, gdy się już ruszać nie mogła, miał ten silny mężczyzna strach przed nią! To też pijany, jak bela zataczał się około północy do swej chałupy.

W chałupie górnika nikt po zmarłej nie płakał kobiecie. Ale u nas na Leśniczówce płynęły gorące łzy. My dzieci nie mogłyśmy wcale myśleć o tem, że nasza ukochana „wielka“ Marjanna nigdy już nas nie odwiedzi! I płynęły łzy gorące!

Ktoby to był myślał! Nawet „mała“ Marjanna płakała i wyrzekała.

— To jednak dobra była kobieta! Lubiłam ją bardzo! Mnie tylko to tak gniewało, że ona was, dzieci, kochała tak samo jak ja!

Smierć, która wszystko wyrównuje i łagodzi, pogrzebała i ową głęboką nienawiść. Smierć ma także swoje dobre strony.

Lata minęły. Byłem już dawno ożeniony i miałem kilkoro dzieci. Wieczorami chodziłem często do winiarni i siedziałem zawsze razem z prawnikami sądu ziemiańskiego.

Jeden z starych, zagorzałych sędziów karnych mówił raz z zjadliwem uniesieniem o brutalności ludu górnośląskiego i o skłonności jego do czynów gwałtownych. Z czynności swej urzędowej znał on tylko najgorszy rodzaj wieśniaków, bo uczciwi członkowie gminy nie starali się wcale o zawarcie z nim znajomości.

— Te górnośląskie „Polaki“ nie mają też ani odrobiny serca ani uczucia, — wyrażał się w swój surowy i odrażający sposób.

Uśmiechnąłem się w duszy i pomyślałem o naszej „wielkiej“ i „małej“ Marjannie.......

z kilkunastu głosów, a zostanie silnem, spoistem, solidarnem ciałem.

Odkładając omówienie szczegółowe wyniku wyborów do następnego listu, podkreślamy tu pomyślny objaw, że w okręgu wiejskim Drohobycz-Turka włościanie ruscy powierzyli swe przedstawicielstwo — Polakowi. Świadczy to o tem, że lud ruski nie jest jeszcze bezwzględnie przesiąknięty hasłami nienawiści narodowej, że można doń jeszcze znaleźć drogi, aby go pokierować na tory prawdziwej polityki, zdrowej i dla dobra ogólnego.

M. N.

Przegląd polityczny.

Niemcy stoją obecnie pod znakiem dziennikarskim. Od tygodnia bawią na ziemi germańskiej przedstawiciele angielskiej prasy. Oficyalne i nieoficyalne Niemcy dokładają wszelkich starań, by pobyt gości czy to w stolicy Niemiec, Berlinie, lub nad Łaby pięknym Dreźnie lub w Monachium uprzyjemnić. Uczta goni ucztę, mowa mowę. Zadziwiający ten upust szerokiej gościnności, tak obcej społeczeństwu niemieckiemu, podpada tem więcej, że Niemcy, szczególnie oficyalne, nie cenią prasy niemieckiej mimo, że wiedzą dobrze, jaką ona potęgą. Że jej nie cenią, dziwić się nie można, bo wiedzą, że ona łatwo dostępna ubocznym wpływom. Nie tajemnicą bowiem, że prasa niemiecka potęgą jest jedynie o tyle, o ile czytana przez miliony czytelników wyrabia w nich opinię. Opinia ta w wielkiej części jest jednakże nie wytworem samodzielnym, lub odbiciem i echem pragnień i dążeń społeczeństwa niemieckiego. Wcale nie. Tak samodzielna prasa niemiecka z nielicznemi wyjątkami być nie umie.

Ona zawsze w przeważnej swej części stojąc na usługach rządu tworzy w ludności takie sentymenty, jakie rząd widzieć i mieć pragnie.

To też wobec tej zależności, której prasa niemiecka podlega, dziwić się nie można, że rząd ją często ignoruje i obraża.

Inaczej w państwach zachodnich, we Francyi, Anglii i Ameryce. Tam prasa tworzy prawidłową potęgę. Samodzielna, niezależna odbija w sobie przekonania i zapatrywania swoich czytelników. Tam liczy z nią się rząd, bo wie, że za nią stoji zwartą falangą cała rzesza czytających. O tej zasadniczej różnicy panującej między prasą zagraniczną a prasą niemiecką wie dobrze rząd. To też na każdym kroku podpada, jak delikatnie postępuje z przedstawicielami prasy obcej. Na obchodach i uroczystościach urządzanych przez prasę niemiecką nie zjawi się nigdy żadna „najwyższa“ osoba. Gdy natomiast swego czasu książę Henryk, brat cesarza Wilhelma, zwiedzał Amerykę, z szczególną przyjemnością spędził — jak zaznaczył — wieczór w towarzystwie dziennikarzy amerykańskich podkreślając, że tak on, jak i brat jego najwyższą mają cześć dla prasy (oczywiście zagranicznej) tej „siódmej potęgi“ świata. Tak było i tym razem. Przyjmował ich śniadaniem i cesarz i król saski, byli na herbatce u kanclerza, wyprawiono na ich cześć kilka uczt, na których polityczne wygłaszano toasty w tym sensie, by raz przecież skończyły się zatargi angielsko-niemieckie. Z niemieckiej urzędowej strony przemawiał w tej myśli podsekretarz stanu spraw zagranicznych *v. Mühlberg.* Mowa jego nader dyplomatyczna określająca cele i zadania pokojowe polityki niemieckiej wywołała wielkie wrażenie. Była ona też w rzeczywistości na efekt zewnętrzny obliczona. Chodziło bowiem po raz setny pewnie rządowi o to, by znowu wykorzystać sposobność i światu pokazać przynajmniej słowy, że Niemcy prowadzą politykę pokoju. Co prawda w rażącem przeciwieństwie do tego przemówienia było zaproszenie dziennikarzy angielskich na wielką paradę korpusu gwardyi w Poczdamie. Tu mieli się przekonać, że Niemcy mają siłę, mają zorganizowaną potęgę militarną, która w danym razie poprze ich zamiary „pokojowe“. Dwa te wypadki, mowa Mühlberga i parada w Poczdamie, te dwa kontrasty są pewnie najciekawszym dowodem, że „gościnnym gospodarzom“ chodziło z jednej strony o uspokojenie opinii zagranicznej, a z drugiej o zagrożenie jej „teutońską“ siłą.. I właśnie dla tego wobec tej dwulicowości polityki niemieckiej przypuszczać można, że prędko zgasną wspomnienia uczt, toastów, podarków i uśmiechów książęcych. Pozostanie natomiast pamięć tych dwóch przeciwieństw, która nowej do tlącego się ognia doleje oliwy. Angielski dziennikarz zbyt

Do „Zakopanego.“

Zakopane, 3. czerwca 1907.

Powiedziałbym prawie, że to ironia losu. Nie komu innemu, lecz prokuratorowi zawdzięczam pobyt mój obecny w Zakopanem. Inaczej serdeczne pragnienie oglądania Tatr pozostałoby długo jeszcze dla mnie niedoścignionem marzeniem.

Tak zwykle u nas bywa — chudych literatów, marzenia i życie rozbijają się wzajemnie o drobnostkę. W danym wypadku -- o pustą kieszeń.

Ale pocóż mi o tem myśleć, kiedy choć to jedno marzenie życia mojego się ziściło!

Wyszedłszy z więzienia, wciąż jeszcze korzystam z wywczasu. „Praca“ udzieliła mi łaskawie „urlopu“, którego jak umiem najlepiej używam.

A jak tu pięknie!?!

W Poznaniu i wszędzie, gdzie „letnicy“ nasi, zażywający latem po trudach i zawodach odpoczynku, znają Zakopane, pomyślą zapewne, jaka też może być przyjemność, być w Zakopanem wtenczas, kiedy tutaj nikogo niema, kiedy, jak im się wydaje, śniegi i roztopy uniemożliwiają wycieczki.

Nie wiem, jak innymi laty, ale obecnie, choć na górach widać pasy śniegu, w Zakopanem jest prawie zupełnie sucho. Mówię prawie, bo dziś padał tutaj lekki deszcz. Jutrzejsze słońce z pewnością kałuże na drogach osuszy. Wieczór zapowiada pogodę.

Zresztą, kto lato całe ciągnął za sobą bez wytchnienia pług trudu codziennego, dla tego odpoczynek, zwłaszcza pierwszy w Zakopanem — będzie wielką przyjemnością.

Taki tu spokój — tak tu zacisznie. Oczy zwracają się w głąb duszy, nie denerwują mnie ciągle te znane „kłucia“ naszych najserdeczniejszych, zecer nie krzyczy „manuskryptu“ — nie pytają mnie ludzie: a co tam słychać w polityce?

Rozkosznie, przyjemnie, spokojnie.

Z Krakowa wyjechałem do Zakopanego w nocy — nad ranem począwszy od Nowego Targu pokazywano mi góry. Widziałem je w rannej lekkiej mgle. Wydawały mi się, jak olbrzymy zakryte — serce biło mi jak młotem!

Wszakże, kiedy ciężar pracy wyżyłował siły moje do ostatka, kiedy czułem się znużony śmiertelnie, myśli moje dotąd wołały za odpoczynkiem. I mam go teraz!

Towarzysz mej podróży, Lwowianin opowiada mi cuda o wycieczkach — o piękności Morskiego Oka — pokazuje mi tymczasem Giewonta, **jedną z najwyższych gór naszych Tatr.**

trudnej pracy naszej, zejdźmy się razem w dniach oznaczonych w stolicy Wielkopolski, a przyczynimy się przez to do pożądanego uświetnienia nadzwyczaj wysokiego wiekiem obchodu i zadokumentujemy, żeśmy braćmi jednej myśli i jednego uczucia!

Przeto upraszamy gorąco szan. cechy i towarzystwa, aby na obchód ten jak największą liczbę delegatów wysłać zechciały i to o ile możności z sztandarem swoim udział wzięły.

Z serdecznym uściskiem dłoni i braterskiem pozdrowieniem pozostajemy z wysokim szacunkiem i poważaniem

Zarząd wolnego cechu szewskiego w Poznaniu.

T. Glock. A. Warajter. T. Berchiet. J. Grajkowski. T. Andersz. J. Jankowski.

* **Odezwa.** II. ogólny Zjazd Kupiecki odbędzie się *w niedzielę*, dnia *16-go czerwca r. b. w Gnieźnie* w hotelu *Europejskim* o godzinie 3-ciej po południu.

Program Zjazdu następujący.

Część I.

1) Otwarcie Zjazdu przez prezesa Związku.
2) Wybór przewodniczącego i jego zastępcy oraz utworzenie bióra Zjazdu.
3) Sprawa *zreformowania* Związku
 a) krótki referat z działalności od I. ogólnego Zjazdu w Gnieźnie dnia 28-go maja 1905 r. odbytego,
 b) przedłożenie projektu nowych ustaw,
 c) dyskusya nad nim i przyjęcie ustaw.

10 minutowa pauza.

Część II.

4) *Referaty i dyskusya nad nimi.*
 a) Żywotne kwestye dla naszego handlu; ref. p. Artur Gustowski z Opalenicy,
 b) Sposoby do podniesienia i uzupełnienia rodzimego przemysłu fabrycznego; ref. p. I. Kornaszewski z Inowrocławia,
 c) Jakim winien być stosunek naszych fabrykantów do ich odbiorców? ref. p. Kazowski ze Strzelna,
 d) O bilansach handlowych; ref. p. Wacław Załuski z Poznania,
 e) O organizacyi wojażerów i agentów Polaków w zaborze pruskim, ref. p. Szymański,
 f) Jakim być winien stosunek wzajemny samodzielnego kupiectwa do pomocników handlowych: ref. p. St. Kuhnert z Gniezna.
5) Rezolucye Zjazdu i wolne wnioski z łona uczestników.
6) Zamknięcie Zjazdu.

Na zjazd ten zapraszamy *wszystkie* Towarzystwa Kupieckie oraz *wszystkich* Panów Kupców bez wyjątku, a także osoby kupiectwem naszem się *interesujące* i mu *życzliwe.*

Liczba uczestników Zjazdu okaże najlepiej, o ile zrozumieliśmy w tych krytycznych czasach potrzebę *łączności* i wzajemnego *porozumienia* się w sprawach ogólno-kupieckich.

Komu rozwój naszego *stanu kupieckiego* leży na sercu, ten niezawodnie w dniu *16-go czerwca r. b.* przybędzie do *Gniezna,* aby w obradach wziąć udział.

Szanowni Panowie Koledzy w rzeszy niemieckiej zamieszkali, wołamy do Was bratnim głosem:

„Do widzenia w Gnieźnie!“

Zarząd Związku Towarzystw Kupieckich na rzeszę niemiecką z siedzibą w Inowrocławiu.

A. Jakubowski, prezes. *W. Ozdowski,* wiceprezes.

T. Lipczyński, sekretarz.

***Odezwa.** Z powodu odbyć się mającego dnia 29-go, 30-go czerwca i 1-go lipca r. b. zjazdu okręgowego Kół śpiewackich, połączonego z obchodem 15-to letniej rocznicy Tow. Śpiewu „Halka“ w Jeżycach potrzebna jest większa ilość kwater w celu pomieszczenia przybyć mających do grodu naszego drużyn śpiewackich.

Zanosimy zatem uprzejmą prośbę do Szan. Obywatelstwa miasta Poznania a szczególnie dawn. przedmieścia Jeżyc o łaskawe udzielenie gościny drużynom śpiewackim.

Łaskawe zgłoszenia przyjmują członkowie niżej podpisanej komisyi.

Komisya Kwaterunkowa Tow. Śpiewu „Halka“ Poznań — Jeżyce.

Fr. Brzozowski. Cieśliński.

* **Krotoszyn.** Towarzystwo Młodzieży kupieckiej (filia) w Krotoszynie urządza w niedzielę dnia 9-go czerwca w ogrodzie p. Cybińskiego (Eldorado) zabawę letnią, połączoną z koncertem. Początek o godzinie 4-tej. Program nadzwyczaj urozmaicony.

O liczne przybycie szan. publiczności prosi

Komisya zabawowa.

Zachęcamy do najliczniejszego udziału. — Przyp. Redakcyi.

Wiadomości.

* **Doroczną uroczystość Bożego Ciała** święcił prastary gród nasz Przemysława przez całą oktawę z wielką wspaniałością i okazałością. Wielotysiączne tłumy pobożnych brały udział w procesyach, których imponujące pochody odbywały się wśród dzielnic, przystrojonych pięknie i gustownie w wieńce, chorągwie, kobierce, draperye, obrazy, figury i t. p.

Punktem kulminacyjnym uroczystości były dwie wielkie zeszłoniedzielne procesye — przedpołudniowa z kościoła Farnego i popołudniowa z kościoła Dominikańskiego — naokoło Starego Rynku. Niestety, deszcz drobny, który rozpoczął padać na początku przedpołudniowej procesyi, zamienił się przy czwartym ołtarzu w ulewę. Procesya popołudniowa odbyła się przy pięknej pogodzie.

Podpadało ogólnie, że w ołtarzu przy pałacu Działyńskich nie było srebrnego historycznego obrazu.

Przez cały tydzień wielotysiączne tłumy rozmodlonego polskiego ludu z wzniosłą pieśnią na ustach: „Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie“, korzyły się przed Królem nad królami, Mocarzem nad mocarzami, błagając Go dla siebie i rodzin, zwłaszcza dla biednej, nieszczęśliwej dziatwy, o lepszą dolę.

Takiego ludu, tak gorąco przywiązanego do wiary przodków, nie zdoła przeistoczyć, nie zdoła zgermanizować żadna znikoma siła ludzka. Lud taki nie upadnie, ale zwycięży.

* **Nasz biedny więzień,** b. redaktor naczelny „Pracy“, p. *Maciej Wierzbiński,* znajdujący się już przeszło półtora roku we więzieniu, ujrzy światło wolności dnia 23-go lipca r. b. Jak wiadomo, p. W. odsiaduje karę w więzieniu centralnem we Wronkach. Długie więzienie bardzo go przygnębiło moralnie i fizycznie: zmienił się do niepoznania i zestarzał przedwcześnie.

Wszelkie starania, aby mu opuszczono przynajmniej ostatnie dwa miesiące kary, były bezskuteczne.

Ubolewamy bardzo nad losem p. W. Niech mu to nasze współczucie osłodzi ciężkie chwile kaźni!

* **Wiec „Straży“** odbędzie się w *Szczucie*, Prusy Zachodnie, w niedzielę, dnia 9-go czerwca na sali p. Dittmanna o godz. 3 i pół. Na porządku obrad: 1. Sprawozdanie z rocznej czynności i dalsza dążność społeczna „Straży“. 2. Kwestya założenia towarzystwa ludowego parafialnego.

O liczny udział prosi rodaków miejscowych i z okolicy

Bolesław Bardzki, starosta powiatowy.

* **Ks. prob. Piotrowicz z Gniezna** skazany został na 2 tygodnie więzienia za wręczenie formularzy strejkowych p. Barułce z Żdziechowic, który je dalej rozdawał. Ostatni otrzymał 50 mk. kary. Karę ks. proboszcza, doliczając ją do odsiadywanej obecnie, zniżono na 3 dni.

* **Obrazy urzędników** i to landrata Abichta, burmistrza Gardzielewskiego, żandarmów Pollaka i Baenscha oraz wachmistrza policyjnego Wojciechowskiego miał się dopuścić *ks. wik. Nelke z Fordonu* i z tego powodu stawał w środę przed sądem w Bydgoszczy. Miał on im zarzucać na zebraniu robotników, że szykanują Polaków. Sąd sprawę odroczył.

* **Dola polskiego redaktora.** Za artykuły w sprawie szkolnej skazano redaktora „Lecha“ pana Skworza na trzy miesiące więzienia.

* **Nowy środek przeciwstrejkowy.** Gnieźnieński „Lech“ donosi, że nauczyciele w niektórych miejscowościach zapowiedzieli dzieciom, zatrzymanym ponad 14 rok w szkole, że zwolnią je w przeciągu 3 dni, skoro rodzice zakażą im strejkować.

* **Za obrazę nauczyciela** Schelenberga i najście domu skazał sąd inowrocławski żonę robotnika Wiegandta z Gniewkowa na trzy dni więzienia. Prokurator stawił wniosek o tydzień więzienia.

* **Na miesiąc więzienia** skazał sąd ławniczy w Kościanie syna sługi szkolnego Franciszka Szabla za obrazę nauczyciela Sobeckiego z Wielichowa.

* **Na trzy miesiące więzienia** skazał sąd śremski robotnika Macieja Sikorskiego z Brodnicy za obrazę nauczyciela Brettschneidera.

* **Na trzy tygodnie więzienia** skazany został p. Janicki z Bukowin

w Prusach Zach. za obrazę nauczyciela z powodu strejku szkolnego.

* **Śremski inspektor szkolny** wysłał do różnych osób w Bninie drukowane formularze, aby oświadczyli w przeciągu trzech dni, czy ich dzieci biorą udział w strejku szkolnym z ich wiedzą i za ich upoważnieniem. Gdyby zapytany nie dał żadnej odpowiedzi, wtenczas pan inspektor będzie uważał, że zapytany na postępowanie dziecka się zgadza.

* **Po prusku.** Na poniedziałkową świętomarcińską pracesyę przybrały się okna Polaków, mieszkających przy ulicach, któremi pochód miał przechodzić, bardzo okazale. Panowie poseł Chrzanowski jako też Dankowski przybrali okna w barwy czerwono-białe. Spostrzegła to troskliwa o bezpieczeństwo państwa policya i p. Dankowskiemu nakazała zmienić znienawidzone polskie barwy a do okien p. posła Chrzanowskiego po drabinie wspięła się i usunęła gorszące Prusaków biało-czerwone wystroje.

I tak wszystko działo się pono w oczach gromadzącej się rzeszy wiernych. Pan minister spraw wewnętrznych, który powiedział, że nie ścierpi kłucia szpilkami, powinien policyi poznańskiej pokazać, że czasy p. Hammersteina minęły.

* **Dra Stańczyka** z Wyrzyska skazała ponownie izba karna w Pile za rzekomą obrazę nauczycieli Kutnera i Branczirawskiego na 200 mk. kary.

* **Proces „Sokoła“ w Rozdzieniu.** Sokołowi rozdzieńskiemu na G. Śląsku wytoczono proces na podstawie paragraf. 103, 110 i 74. Proces toczył się dnia 3 i 4 czerwca rb. przed I. izbą karną w Bytomiu. Oskarżeni byli następujący druhowie: Teodor Chakowski, Piotr Plewniak, Adam Czupalla, Piotr Łyszczak, Jan Palion, Jan Badura, Paweł Hendy, Leon Fieczaw, Teodor Piecha, Edward Hałota, Konstanty Skulik.

Prokurator usiłował wykazać, że Sokół rozdzieński pracował nad przywróceniem Polski niezależnej przez podburzające odczyty wygłaszane na zebraniach i przez odczytywanie ustępów z polskiej historyi i literatury.

Sąd skazał wszystkich oskarżonych na więzienie, a mianowicie *Piotra Plewniaka na 1 rok i 3 miesiące, a resztę 10, na 1 do 6 miesięcy.* Nadto *zawyrokował sąd rozwiązanie rozdzieńskiego „Sokoła“.*

Oskarżonych bronili pp. adwokaci: Dr. Zygmunt Seyda z Katowic, Czapla i Wnukowski z Bytomia.

* **Kolniści uciekają!** Do redakcyi „Lecha“ przybył niedawno pewien kolonista, skarżąc się na komisyą kolonizacyjną. Zapowiedział on, że on i wielu innych drapną, aż się kurzyć będzie, do Bessarabii, skąd ich ściągnięto.

* **Ostrów.** W przeszym tygodniu wpadł z nieznanego powodu pewien pryncypał *niemiecki* do mieszkania swych polskich uczniów i spalił w zapale szowinistycznym wszystkie pisma i książki polskie, co mu w rękę wpadły. Tylko mała część, która była dobrze zachowana, uniknęła zniszczeniu. Pomiędzy spalonemi znajdowała się — niestety — nasza ulubiona „Praca.“

Fakt smutny, lecz prawdziwy, charakteryzujący dosadnio owego „pryncypała niemieckiego.“

Czytelnik „Pracy.“

* **Berlin**, 4 czerwca. *Nowa polska firma.* Wczoraj po południu odbyło się poświęcenie lokalu nowej firmy jedynego polskiego domu wysyłkowego *Hieronima Tilgnera* przy Markusstr. nr. 3. — Poświęcenia dokonał rodak ks. W. Szulc z kościoła Piusa. Na uroczystości był cały personał obecny, również prezes polskiego Tow. Kupieckiego p. Józef Morgenstern i właściciel drukarni oraz członek komitetu politycznego pan Józef Załachowski z Charlottenburga. — Przebieg całego obchodu był nadzwyczaj uroczysty i poważny.

* **Dobra piekarnia** na wsi, połączona ze składem kolonialnym i towarów krótkich z 7 morgami dobrej ziemi jest natychmiast do nabycia. Cena 15 000 mrk., wpłata 4—5 000 marek. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“. Wobec dogodnych warunków kupna nadarza się korzystne nabycie interesu dla rodaka.

* **Zwracamy uwagę** Szanownych Czytelniczek na anons „*Wyższej szkoły kroju*“ *p. Zofii Szuman*, polecając kursa pospieszne uwadze pań krawcowych, pragnących wiadomości swoje uzupełnić. — Ta mała strata czasu w martwym sezonie powróci się w trójnasób w czasie zamówień, kiedy wydoskonalony krój ułatwi i przyspieszy wykonanie zamówień.

Nekrologia.

† Ś. p. *Wojciech Kowalski*, dnia 24-go z. m. w Poznaniu skończywszy lat 36. R. i. p.

† Ś. p. *Klemens Osiński*, dnia 25-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy lat 47. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Kawaler*, dnia 25-go z. m. w Rossosyczy pod Ostrowem w 62-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Marya Augustyna Nędzewiczowa*, dnia 25-go z. m. w Ostrowie. R. i. p.

† Ś. p. *Ignacy Paluszyński*, dnia 21-go z. m. w Koźminie, przeżywszy lat 42. R. i. p.

† Ś. p. *Ignacy Ruszczyński*, dnia 23-go z. m. w Poznaniu w 43-im roku życia. R. i. p.

† Ś. p. *Aniela Wierszewska*, dnia 26-go z. m. w Skokach. R. i. p.

† Ś. p. *Jadwiga Czerwińska*, dnia 20-go z. m. w Zakopanem. Pogrzeb odbył się dnia 25-go z. m. w Kościanie. R. i. p.

† Ś. p. *Kazimierz Kryzan*, dnia 31-go z. m. w Szamotułach. Pogrzeb odbył się w Witaszycach. R. i. p.

† S. p. *Apolonia Szuszkiewicz 1 voto Ćwiklińska*, dnia 31-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 66. R. i. p.

† Ś. p. *Józefa z Chylewskich Bandych*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu-Jeżycach, w 31-ym roku życia. R. i. p.

Nasza ofiarność.

Na popieranie nauki języka ojczystego dla dziatwy polskiej złożyli za staraniem Komitetu Towarzystwa Śpiewaków Polskich „Lutnia“ w Bremenie następujący rodacy i rodaczki: Ludwik Klatt 2 mk; Teodora Klatt 50 fen; Ludwika Malinska 50 fen; Salomeja Barczak 1 mk; K. Siuda 2 mk; T. Proch 50 fen; Michał Pasikowski 1 mk. 50 fen; Jan Merezak 1 mk; E Olszyńska 50 fen; S. Barczak 1 mrk: W. Lange 50 fen; K. Tszęchocki 1 mk. 15 fen; W. Wolicki 1 mk; Antoni Janicki 1 mk; Józef Paterski 50 fen; Józef Jasiański 50 fen; St. Mamser 1 mk; M. Krajewski 80 fen; F. Tszepałkowski 1 mk; Jan Horyza 2 mk; Piotr Brauza 1 mk; Władysława Brauza 1 mk; Ignacy Olek 50 fen; Józef Madyński 2 mk; P. Stein 50 fen; Józef Jeżak 50 fen; Wojciech Czarnecki 2 mk; K. Lehmann 50 fen; St. Noglik 50 fen; razem 28 mk. 45 fen.

* * *

Na Macierz szkolną w Królestwie złożyli w dalszym ciągu: pp. Fr. Katarzyński, S. Katarzyński i I. Dobrowolski z Kray każdy po 50 fen, w znaczkach pocztowych, razem 1 mk. 50 fen; A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 1 mk.

* * *

Na „Straż“ złożyli w dalszym ciągu: pani A. Łucka ze Stanisławowa (Galicya) 1 mk.

* * *

Ze sprzedaży kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło do kasy *za pośrednictwem pp:* Kostrzewskiego, Piotra plac 2 mk. 25 fen; Sokołowskiej ul. Wilhelmowska 10 mk. 80 fen; Mieczysława Chudzińskiego z Śmigla 5 mk; Kostrzyńskiego św. Marcin 2 mk. 25 fen; N. N. 50 fen; M. Szydlarskiego z Szamotuł 9 mk. 30 fen; firmy A. Rose z Bazaru 36 mk; Księgarni św. Wojciecha 11,25 mk. Razem 77 mk. 35 fen.

Kusztelanowa skarbniczka, Poznań Ogrodowa 12.

Mówią oddawna, że bez
pieniędzy
Człek nic nie zrobi i ginie z nędzy
Czemóż elegant jeden i drugi,
Choć bez pieniędzy, wciąż robi długi?

Racya.

Franek: — A twoje palto gdzie się tak zabłociło!

Kostuś: — Wczoraj, gdym powracał z małej wycieczki do zamiejskich piwiarni, wpadło mi do rowu...

Franek: — Czemużeś lepiej nie trzymał?...

Kostuś: — Nie mogłem, bo miałem je na sobie.

Mężczyzna wygadany ma powodzenie u kobiet, ale gdy umie milczeć, dalej zajdzie.

Testament bankiera.

Z angielskiego tłumaczył M. P.

(Ciąg dalszy.)

— W zawodzie pana nie wiele wprawdzie posiadam doświadczenia, w każdym razie mam dużo znajomości ludzi i umiem rozpoznać, jak człowiek, będący pod wpływem pewnych właściwości charakteru, postępuje w tych lub owych przypadkach. Na tem opiera się też moje zapatrywanie na postępowanie pani La Grange w obecnym przypadku. Podług zdania Mainwaringa i podług moich własnych spostrzeżeń, jest to kobieta niezmiernie fałszywa, zacięta i podstępna, kobieta bez zasad honoru i moralności, jednem słowem niebezpieczna, do wszystkiego zdolna! Do tego należy dodać, że usiłowała ciągle zmusić Hugona Mainwaringa do zaślubienia jej, albo też do zapisania jej i synowi całego majątku. Te nieustanne żądania i nalegania naprowadziły w końcu Hugona Mainwaringa na myśl spisania jak najprędzej testamentu, rozporządzenia całym swoim majątkiem i zachowania wszystkiego w tajemnicy przed panią La Grange. Czy może więc być coś prawdopodobniejszego jak to, że gdy się ta kobieta o tem dowiedziała, postanowiła użyć wszystkich środków, aby unieważnić testament bankiera i dojść do zamierzonego celu zabrania jego majątku? Główną naturalnie rzeczą było usunięcie testamentu. Skoro to zostało załatwionem, wtedy reszta bardzo była łatwą, gdyby się jednak nie udało — nie cofnęłaby się przed niczem! Gotowa na wszystko, zabrała się natychmiast do dzieła. Wezwała najpierw Hobsona tu dotąd, wiedziała bowiem, że to jedyny człowiek, którego się Mainwaring lękał, i z nim razem ułożyła cały plan. Hobson wystarał się o pomocnika, którego o zmroku wprowadził do pokoju pani La Grange i oboje wtajemniczyli go w ową sprawę, uradzając równocześnie wszelkie szczegóły zbrodni. Wtedy to spostrzegł wuj Mojżesz szanowną trójkę przy drzwiach pałacu, zajętą cichą, żywą rozmową, i wspólnik Hobsona znikł nagle, a raczej ukrył się w zaroślach, w bliskości pałacu. Pani La Grange i Hobson weszli znowu do sieni, a gdy nieco później wszedł Hardy do pokoju swego pana, zastał tam panią La Grange, podczas kiedy całe towarzystwo znajdowało się jeszcze na werandzie, i poczuł swąd spalonego papieru. Swąd ten pochodził z spalonego testamentu w kominku w wieżowym pokoju. Sam pan to odkryłeś po owej katastrofie! Zebrawszy wszystkie te szczegóły trzeba przyznać, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pani La Grange wprowadziła Hobsona do prywatnego pokoju Hugona Mainwaringa i że ukryła go tam po zniszczeniu testamentu, aby mógł działać stosownie do wyniku rozmowy jej z bankierem. Wręczyła mu także klucz bramy, w celu umożliwienia mu ucieczki i dała mu rewolwer Mainwaringa dla wykonania w razie potrzeby ułożonego poprzednio morderstwa. Gdy kilka godzin później, uniesiona złością, wyszła po gwałtownej sprzeczce z biblioteki, kazała natychmiast Hobsonowi wykonać zamach, a potem wróciła raz jeszcze, aby się przekonać, jak się wszystko skończyło. Mam nadzieję, że pan zapatrujesz się tak samo na tę sprawę i że podzielasz moje zdanie!

— Znakomicie pan kombinujesz, — zawołał Merrick. — Ale co sądzisz pan o klejnotach? Myślisz, że Hobson ukradł je?

— Nie, tego wcale nie przypuszczam! Myślę raczej, że pani La Grange już je sobie poprzednio w jakikolwiek bądź sposób przywłaszczyła. Bo za byle co nie dał się Hobson przekupić, a czem miała mu zapłacić, nie posiadając własnego majątku? Sprzedaż naszyjnika dosyć jest podejrzaną pomimo pozornego wyjaśnienia jej. Z tem wszystkiem muszę otwarcie wyznać, że sprawy klejnotów jeszcze zupełnie nie rozumiem.

— Czy pani La Grange umiała otwierać biurko zmarłego?

— Nie wiem! Mainwaring opowiadał mi przed kilku miesiącami, że raz zastał ją w swoim pokoju przy biurku — i dla tego kazał natychmiast zmienić mechanizm. Ale kto wie, czy nie odkryła i tego nowego sposobu otwierania!

— Na stangreta Browna nie zwracasz pan żadnej uwagi?

— Aż do wczoraj, do chwili jego nagłego zniknięcia, nie uważał go nikt za niewinnego, teraz jednak przypuszczam, że i on odegrał jakąś rolę w tym dramacie. Uważam to za bardzo prawdopodobne, że po dokonanem morderstwie kazała mu pani La Grange usunąć niektóre przedmioty, będące w styczności z zbrodnią, i dla tego jest przeszukanie jeziora podług mego zdania, rzeczą nader ważną. On sam zaś zeznał, że znajdował się w mieście w chwili, w której zamordowano bankiera!

— Tak — on tak zeznał, w rzeczywistości jednak wcale tej nocy w mieście nie był. Około północy widziano go w sąsiedztwie w towarzystwie kilku mężczyzn o bardzo podejrzanej powierzchowności.

— Kiedy dowiedziałeś pan się o tem?

— O, wiedziałem to już, zanim to prokurator badał!

— I pozwoliłeś mu pan zniknąć? Nie gniewaj się pan na mnie, ale tego doprawdy — nie rozumiem!

Detektiw uśmiechnął się.

— Uspokój się pan, — rzekł, — Brown znajduje się pod dobrą opieką, mogę go mieć każdej chwili! Jeden z moich agentów mieszka z nim razem w jednym pokoju, w pewnej podrzędnej knajpie i czuwa nad nim dniem i nocą.

— Wybornie! Ale powiedz pan — czemu, mając go w rękach, nie każesz go uwięzić?

— Bo chcę, aby mi służył za przynętę dla szlachetniejszej zwierzyny. Jeżeli on rzeczywiście jest zawikłany w tę sprawę, to był jednak tylko narzędziem w rękach doświadczonych i niebezpiecznych łotrów. Mam rozmaite drobnostki, które mnie do tego przypuszczenia upoważniają. Patrz pan......

Tu Merrick wstał nagle i wziął z stołu dosyć duży przedmiot owinięty w papier.

— Patrz pan, — powtórzył, — otóż naprzykład to... Co myślisz o tej zardzewiałej szkatułce?

Pan Whiteney zerwał się z krzesła.

— Co u licha, — krzyknął, — czyś pan znalazł klejnoty? Czy to możliwe? Mów pan, na Boga!

— Dotychczas mam niestety tylko próżną szkatułkę!

— Ale gdzie ją pan znalazłeś?

— W jeziorze!

— A—h! Kiedy?

— Dziś, po wschodzie słońca, podczas kiedy pan jeszcze spałeś!

— Panie Merrick, jesteś pan istotnie dzielnym człowiekiem! Zdaje mi się, że możnaby prędzej śpiącego zająca schwycić, niż pana śpiącego widzieć. Zresztą znalezienie szkatułki potwierdza moje zdanie co do tego, że pani La Grange klejnoty skradła i okupiła sobie pomoc Browna. Jesteś pan tego samego zdania?

Zamiast odpowiedzi wyjął teraz Merrick wyłowiony z jeziora rewolwer i podał go adwokatowi.

— Co pan mówisz na to? — zapytał.

— Zkąd pan go masz? Zardzewiały tak jak szkatułka! Czy także z jeziora?

— Tak jest!

Adwokat, widocznie zmieszany, obejrzał rewolwer bardzo uważnie poczem odłożył go i rzekł:

— Hm — wiesz pan, nie rozumiem właściwie, w jakim związku stoi ten rewolwer z morderstwem! Przecież śledztwo wykazało, że strzał pochodził z rewolweru Hugona Mainwaringa!

— Wybacz pan — tego śledztwo nie wykazało wcale! Stwierdziliśmy tylko to, że rewolwer leżący przy zmarłym był jego własnością, lecz kula pochodziła z tego rewolweru, który pan trzymasz w ręku. Znalazłem ją zaraz po obdukcyi ciała. Otóż tu jest!

I wyjął ją z kieszeni.

— Mam też rewolwer Mainwaringa. Porównaj pan teraz kulę z obydwoma kalibrami a przekonasz się, że wyszła z rewolwera, znalezionego w jeziorze. Dla kalibru Mainwaringa jest o wiele za wielką!

Adwokat porównał kalibry i kulę i zdumiał.

— Masz pan słuszność, — rzekł. — Ale jak wytłumaczyć to, że rewolwer Hugona Mainwaringa leżał przy trupie?

— Bardzo to jasne — ułożone przez zbrodniarza morderstwo obmyślanem było aż do najdrobniejszych szczegółów i miało wyglądać jak samobójstwo. Domyśliłem się jednak zaraz prawdy po zbadaniu rany i po obejrzeniu broni, zauważyłem bowiem na pierwszy rzut oka, że wielkość kuli nie stała w żadnym stosunku z wielkością rany. Potem podpadło mi to, że krwi bardzo było mało, równocześnie zaś zauważyłem na włosach przy skroni odciśnięty znak, taki, jaki zwykle pozostawiają bandaże. Szukając dalej, znalazłem na dywanie w bibliotece małą plamę krwi, później także i kulę, co dowodzi, że morderstwo zostało popełnionem w bibliotece, że trupa przeniesiono do pokoju wieżowego i że ułożono go tam tak, jak gdyby zmarły sam był sobie odebrał życie. Nie rozumiałem tylko wcale, czemu kałuża krwi była tak małą, ale i na to otrzymałem dziś wyjaśnienie — w znalezionej szkatułce. Otóż tu jest. — Mówiąc to, pokazał adwokatowi krwią zbroczoną chustkę, złożoną kilka razy zupełnie wązko jak opaskę.

— Tym bandażem, — dodał, — którego ślady odkryłem na włosach zamordowanego, tamowano krew. Oprócz tej chustki znalazłem jeszcze w szkatułce obydwa klucze Mainwaringa do drzwi biblioteki i do bramy południowej. Posądzasz pan zawsze jeszcze panią La Grange albo Hobsona o wymyślenie i wykonanie tak wyrafinowanej zbrodni?

Pan Whiteney, słuchający dotąd z natężoną uwagą, obejrzał raz jeszcze starannie przedłożone mu przedmioty i zwracając się teraz do detektiwa, rzekł z szczerem uznaniem:

— Jestem zupełnie pobity! Dałeś mi pan dobrą naukę! I jeżeli pytasz mnie, czy posądzam panią La Grange lub Hobsona o popełnienie tej zbrodni, to odpowiem ci otwarcie, że nie wiem wcale, co myśleć. Co do Hobsona, to znam go tylko o tyle, o ile w ostatnich dniach o nim słyszałem, co do pani La Grange jednak — hm — ja sądzę, że ona jest zdolną do ułożenia takiego planu!

— Może być, — odpowiedział Merrick, — moje doświadczenie przecież uczy mnie, że nie mamy tu do czynienia z robotą nieumiejętnego początkującego, tylko z robotą wytrawnego, obrachowanego zbrodniarza. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że z powodu jakiejś tajemnicy miał Hobson ogromną przewagę nad Mainwaringiem, inaczej nie byłby miał odwagi nazywania go kłamcą i oszustem! Oprócz tego jest tu jeszcze osoba trzecia......

— Aha, rozumiem, — przerwał adwokat, — masz pan na myśli wspólnika Hobsona, owego wysokiego mężczyznę w ciemnych okularach.....

Merrick uśmiechnął się.

— Więc pan sądzisz, że Henry Carruthers, który tam był po południu, jest tak zwanym Jackiem Carrol, w którego towarzystwie ukazał się Hobson wieczorem u pani La Grange?

— Tak, to jest jedna osoba. Mojżesz widział ich obydwóch i poznał, że to zupełnie ten sam mężczyzna!

— Słusznie, Mojżesz zeznał tak, i zdaje się, że Carruthers i Carrol są rzeczywiście do siebie podobni, ale istota ich i zachowanie się zupełnie są odmienne. Carruthers przyszedł jawnie i zachowywał się, jak człowiek wytrawny, Carrol natomiast obawiał się widocznie światła dziennego. Żaden z świadków nie widział jego twarzy, nikt więc nie mógł go opisać. Starał on się zawsze stać w cieniu.

— Wszystko co pan mówisz jest prawdą. Mogły to rzeczywiście być dwie rozmaite osoby. Jeżeli tak było, i jeżeli Carrol popełnił morderstwo, to fakt ten potwierdzałby moje zdanie — że pani La Grange i Hobson plan morderstwa ułożyli, a on tylko narzędziem był w ich rękach!

— Można o tem myśleć, co kto chce, ja w każdym razie nie wiem dotąd jeszcze, jaką rolę odegrał Carrol w tej sprawie!

— Ów pan Carruthers, jeżeli nie jest Carrolem, daje mi też dużo do myślenia, — zauważył adwokat po chwili. — Czemu on nagle wyjechał rannym pociągiem do miasta, pomimo, że powiedział sekretarzowi że zostanie dwa lub trzy dni w hotelu Arlington?

— No, to mnie znowu tak bardzo nie dziwi, ważniejszym jest fakt, że mężczyzna, którego rysopis zupełnie się z jego rysopisem zgadzał kupił bilet do Nowego Yorku, a podług zeznania konduktora wcale do Nowego Yorku nie jechał! Musiał więc nagle zmienić zamiary. Dowiedziałem się natomiast od jednego z konduktorów pociągu, odchodzącego pięć minut później na Północ, że w chwili, w której pociąg miał ruszyć, wpadł na peron jakiś mężczyzna, i wskoczył do wagonu. Konduktor widział go potem siedzącego w przedziale dla palących, z kapeluszem na twarz zasuniętym. Powierzchowność tego mężczyzny zgadzała się zupełnie z......

— To tylko mógł być Carrol, — przerwał adwokat żywo.

— Albo też kto inny, — odrzekł Merrick spokojnie. — Tak, kochany panie, na zagadkach nie zbywa nam wcale! Odgadnij pan naprzykład tę: pan jesteś przekonany, że Brown wrzucił w jezioro szkatułkę i rewolwer. Ja mówię: może być, że tak, a może być, że nie! Powiedz mi pan: kto był tym mężczyzną, którego Brown widział stojącego około trzeciej rano nad jeziorem? Czego on tam szukał? Opis Browna stosuje się tak samo do Carrola jak i do Carruthera. Który z nich był tam? Czy jeden z nich wrzucił coś do wody,? A jeżeli wrzucił — kto może wiedzieć, co?

Whiteney milczał przez chwilę, potem rzekł z uśmiechem:

— Wyrażam panu najwyższe uznanie dla przenikliwości i staranności, z jaką obmyślasz najdobitniejsze szczegóły tej sprawy, — ale ja się zajmować tem nie mogę, bo

nie mam żadnej w takich rzeczach wprawy. Ja opieram moje twierdzenia na wyraźnych i głównych punktach i......

— Dobrze, — zawołał detektiw, — zostańmy przy tych wyraźnych i głównych punktach! Jakie powody masz pan podejrzewania pani La Grange i Hobsona o popełnienie morderstwa? Te same powody można mieć i co do innych osób!

— Ależ panie, ta kobieta miała chyba dosyć powodów do popełnienia tego czynu! Wszakże jedynem jej dążeniem od siedmnastu lub ośmnastu lat było, uzyskanie majątku Mainwaringa dla siebie i dla syna! Myślała, że się to prawnie należy!

— Pozwól pan, — zawołał detektiw, — to jest właśnie najważniejsze! Pan wierzysz w winę tej kobiety, dla tego, że nie mając żadnego prawa, usiłowała koniecznie być spadkobierczynią bankiera. Ale nie pomyślałeś pan nigdy o tem, że mogą też jeszcze istnieć inni ludzie, którym zależało dużo na śmierci bogatego człowieka, a którzy byli prawnymi jego spadkobiercami?

— Nie, o tem wcale nie myślałem, — odrzekł adwokat spokojnie.

— Dowiedziałem się z rozmaitych wiarogodnych źródeł, — mówił detektiw dalej, — że Ralf Mainwaring ma młodszego brata, Harolda, który także bardzo lubi pieniądze, lecz który nie jest niczem więcej, jak tylko leniwym, trochę ograniczonym człowiekiem, żyjącym tylko dla swoich namiętności, nie mającym żadnych zasad i marnotrawcą w całem znaczeniu tego słowa. Tak on jak i brat jego czyhają od dawna już na ową tłustą amerykańską sukcesyą. Wczoraj telegrafowano mi z Anglii, że ów Harold znikł zaraz po wyjeździe brata swego, a jego znajomi w klubie londyńskim przypuszczają, że odjechał następnym parowcem do Ameryki w celu zgłoszenia się o swoją część majątku.

— I pan myślisz, że... — szepnął adwokat bez tchu niemal — że...

Merrick potrząsnął głową.

— Badałem i śledziłem wszystko tak długo, dopóki nie wyśledziłem tajemnicy Hugona Mainwaringa, i przekonałem się, że Hobson, który wywierał na niego taki nacisk, twierdząc, że zna jego tajemnicę, wcale jej w rzeczywistości nie znał. To jest — znał część jej, lecz o najważniejszem żadnego nie miał pojęcia! Ponieważ zaś pan byłeś przyjacielem Mainwaringa, przeto wolę o wszystkiem milczeć, tyle tylko mogę powiedzieć, że istnieją prawni spadkobiercy, znajdujący się bez wątpienia w bliskości naszej, i że ci mają nietylko większe do majątku zmarłego prawa, niż familia Ralfa Mainwaringa, ale nadto większe do jego majątku mieli prawa, niż on sam!

Adwokat patrzał na detektiwa tak, jak gdyby nie był rozumiał słów jego. Co to miało znaczyć?

— Panie Merrick — rzekł po chwili milczenia — znam cię jako człowieka mówiącego zawsze prawdę i nie tracącego słów napróżno — jesteś rozważnym, ostrożnym i potrafisz wszystkie twoje twierdzenia poprzeć dowodami, muszę ci zatem wierzyć! Widzę, że nie chcesz lub nie możesz mi teraz wszystkiego jaśniej wytłumaczyć, ale na jedno pytanie będziesz mi może mógł odpowiedzieć: myślisz, że ten Harold Mainwaring albo owi inni możliwi spadkobiercy, o których wspominałeś, zjawią się tu osobiście, albo czy będą dochodzili praw swoich z pomocą adwokatów?

— Tego teraz jeszcze przewidzieć nie można! Musisz pan się chwilowo zadowolić wskazówką co do możliwych kłótni i zawikłań, jakie z wypadku tego wynikną. Dodam jeszcze tylko to: nie myśl pan, aby Hobson narażał się dla pani La Grange na jakie niebezpieczeństwo! Po pierwsze pracuje on zawsze tylko dla siebie, a potem dopiero dla tego, kto mu najlepiej płaci. Powtóre nie ceń prywatnego sekretarza Skotta zbyt nizko. Podług mego zdania da on panu i klientom pana niejeden twardy orzech do zgryzienia, tak twardy, że możecie sobie na nim wszystkie zęby wyłamać. Nie zauważyłeś pan nigdy jego podobieństwa do kogoś ze znajomych?

— Właśnie chciałem pana o to zapytać! Już od pewnego czasu podpadło mi w twarzy jego podobieństwo z kimś, lecz nie wiedziałem, z kim! Dopiero dziś przy obiedzie przyszło mi na myśl, że on bardzo jest podobny do Hugona Mainwaringa. Czy to nie syn jego, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział.

— Co, on ma być podobny do Hugona Mainwaringa?

— Czy nie na to chciałeś mi pan zwrócić uwagę?

— Nie, bo skądby mi coś podobnego przyszło na myśl? Zapominasz pan, że ja bankiera nigdy żywego nie widziałem!

— Tak, to prawda! Więc kogóż u licha masz pan na myśli?

W tejże chwili dały się słyszeć kroki wchodzącego na schody stangreta, detektiv obrócił się więc szybko do adwokata i szepnął:

— Jeżeli się nie zważa na wyraz twarzy — to Harry Skott jest zupełnie podobny do pani La Grange!

Skott opuszcza pałac.

Harry Skott siedział przy biurku w wieżowym pokoju. Z polecenia Ralfa Mainwaringa przygotowywał kopię zniszczonego testamentu podług istniejącego jeszcze stenogramu dyktanda Hugona Mainwaringa.

Lecz zanim pracę tę skończył, weszli do biblioteki adwokat z Ralfem, obydwaj bardzo ożywioną zajęci rozmową.

— Jeżeli ten łotr myśli, że osiągnie jakąś przewagę nademną, to myli się niezmiernie — krzyczał Ralf zaperzony. — Chce on tylko wyłudzić pieniądze, więcej nic, a ja mam ogromną chęć zbadania tej rzeczy gruntownie i posłać oszusta tam, gdzie mu się być należy.

— Ja doprawdy nie wiem, co panu radzić — odrzekł adwokat spokojnie. — Warunki obecne są tak dziwne — i nie ulega też najmniejszej wątpliwości, że po za tem wszystkiem jest coś, co panu i mnie, jako przyjacielowi zmarłego kuzyna pańskiego, mogłoby być bardzo nieprzyjemnem, gdyby się wydało. Ale chociażby się i na to nie zważało — zawsze jestem tego zdania, abyś pan zbyt szorstko nie występował. Nie leży to w interesie pana!

— Jakto? Czemu?

Odpowiedzi adwokata nie słyszał Harry. Cała jego uwaga zwróconą była nagle na odcisk podpisanego nazwiska, zupełnie wyraźnego na bibule, służącej za podkładkę do pisania i przymocowanej do płyty na biurku. Oprócz Hugona Mainwaringa i niego samego, nikt dotąd jeszcze przy biurku tem nie pracował — obce nazwisko więc wywołało niezmierne jego zdumienie. I podczas kiedy uważnie na nie patrzał, przypomniało mu się, że w jednej z szufladek leżało zawsze małe ręczne lusterko. Wyjął je zatem natychmiast, potrzymał nad bibułą i przeczytał nietylko nazwisko odciśnięte na niej, ale nadto kilka innych jeszcze słów, których poprzednio nie zauważył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z bieżącej chwili.

Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury.

(Przedruk wzbroniony)

I.

„Dobre pany, bo po polsku mówią“ powitał nas jeden z Mazurów. To uczucie radości, na dnie którego nie brak było zdumienia i wdzięczności, odczuwało się na każdym kroku w stosunku Mazurów do nas. I dziwić się nie można. Odwykli od tego, by „panów“ słyszeć mówiących po polsku, widząc co dzień, że właśni ich synowie, o ile w mieszczucha wejdą skórę lub ukończywszy szkoły, urzędu się dopną, nie tyle zapominają, ile się wstydzą ojczystego języka z trudnością zrozumieć mogli, że są jeszcze poza ukochanemi przez nich Mazurami szerokie i długie przestworza błogosławionych łanów, przepięknych okolic, kędy góry strzeliste niebu zda się urągają, lub wartkich wód koryta, na których płony ziemi w zamorskie płyną krainy. A tam wszędzie i nad brzegami rwącej Warty, gdzie Poznań leży, i nad Wisłą modrą, gdzie Wawel duma, a płacze Warszawa, bracia ich mieszkają, bracia mówiący tym samym językiem — *Polacy*. Polakami bowiem czują się Mazurzy. A choć ich polskość zewnętrznie objawia się chwilowo w głębokiem przywiązaniu do języka, nie ujdzie uwadze obserwatora, że po za tą zewnętrzną stroną łączącą ich z nami jest i wewnętrzna: ich zwyczaje, obyczaje, ich gady i pieśni, niestety obce nam dzisiaj.



Rynek w Szczytnie.

I trzeba tylko obudzić drzemiące ich serca, otworzyć naiwne ich oczy, a wówczas znikną tam Schmidty, Stolbergi i Bibersteiny. Amarantowy wówczas wzniesie się nad nimi sztandar, a dumnie bijąc skrzydły biały orzeł straż czynić będzie.

Tych kilka uwag niech poprzedzi wrażenia, poprzedzi tem więcej, że są u nas ludzie małego serca, którzy nie nauczeni doświadczeniem Śląska, wątpią i nie wierzą, by czas mógł nadejść, że i Mazurzy się odrodzą, że poznają się jedną bracią z nami z nad Warty i Wisły.

Garść uwag rzucę zaledwie na papier. Za krótko byliśmy, za szybko czas nam przeszedł, by módz pisać o wszystkich i o wszystkiem.



Jezioro Murawa na Mazurach.
Obraz przedstawia ujście rzeki Krutyna do jeziora Murawy. Jest to jeden z najładniejszych widoków mazurskich z okolicy Ządzborka.

Ciekawych odsyłam do pięknych „listów z nad jezior mazurskich“ pisanych swego czasu dla „Pracy“ przez Romana Rolę (Macieja Wierzbińskiego).

Siedmiu znalazło się na dworcu poznańskim w przedświąteczne południe. Niewielu. Jednych choroba przykuła do domu, — innym deszczowe powietrze za chłodne i przykre malowało perspektywy. Raźno unosił nas kuryer przez spokojne łany wielkopolskie i faliste ziemie Prus Królewskich ku jeziorom ostrudzkim i olsztyńskim basztom i wieżom, z których Kopernik gwiazd badał drogę. Z Olsztyna godzinka, a jesteśmy w sercu ruchu mazurskiego w *Szczytnie.* —

Jak wiadomo, poprzedziła nasze przybycie fama urzędowa, bredząca o polskich agitatorach, hrabiach i posłach. To też na dworcu rojno było od ciekawych Szczytniaków, chcących obejrzeć sobie niebezpiecznych i niepożądanych gości. Między nimi przewijali się policyanci, żandarmi i burmistrz. Powitaniu zatem nie brakło cech demonstracyjnych. Co prawda, nie z naszej strony dano do nich powód. Ojcowski rząd chciał jednakże Mazurom naocznie pokazać, jak dba o ich dobro, o ich spokój i — o ich ciemnotę. I trzeba mu przyznać, że starał się dokonać swego. Wszędzie, gdzie nasza zleciała drużyna, byli i żandarmi i policyanci. W jednej powózce my — oni w drugiej; w jednym przedziale paliliśmy nasze, w sąsiednim „opiekun“ tajny lub jawny dymił swe cygaro. Pusty ogarniał nas śmiech patrząc na ich urzędowe twarze, sposone od zmęczenia a wściekłe że nakaz pilnowania nas popsuł im święta. Swoboda nasza i pewność siebie musiała ich drażnić, to też przesadzali w swej natrętnej gorliwości ośmieszając siebie wobec nas, a szczególnie wobec Mazurów. I efekt, o który chodziło, by wywołać poczucie potęgi i obawy przed panem żandarmem lub innym królewskim urzędnikiem prysnął nader prędko, bo lud zobaczywszy, że nas cieszy i bawi opieka, zapomniał o tradycyjnej swej uległości i począł wraz z nami bawić się nimi.



Chata mazurska.
(Patrz artykuł p. t.: „Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury").

W „domu mazurskim“ w mieszkaniu redaktora p. Zielińskiego — mimo patrolującego przed domem policyanta — było wesoło. Zapoznawszy się z grupką obecnych Mazurów, dzielimy się naszemi spostrzeżeniami i uwagami. Krzyżują się pytania i odpowiedzi. Mazurzy z początku cisi, prawie podejrzliwi, poczuli się powoli między nami jak u siebie.

Szczególnie jeden z nich, 79 letni *Jan Kiersten,* ujmuje nas swoją szczerą i zapalną naturą. Oryginalny typ o wychudłej prawie mistycznej twarzy wciąż przemawia, ciesząc się, jak dziecko. Na Mazurach jedyny pewno typ powstańca z 63 roku. Opowiada



Słup graniczny pod Prostkami
w powiecie łeckim.
(Patrz art. p. t.: „Pierwsza wycieczka wielkopolska na Mazury").

nam z łzą w oku o potyczkach, które przebył. Wrażenia owych czasów, owej siły ekspansywnej i żywiołowej odczuwa się u niego i dziś. Zapalny, szczery, Polak całem sercem i duszą śpiewa z nami z zapałem młodzieńca „Polak nie sługa“. Rozczula nas swojem przemówieniem, w którem w prostych biblijnych słowach dziękuje Bogu, że dozwolił mu doczekać chwili, w której poznał braci z Poznania, synów tych, którzy wraz z nim walczyli za wolność Polski—Ojczyzny. Mówił jeszcze długo i serdecznie, przemawiał jak starzec do młodych, żaląc się nad obecnem położeniem swej braci mazurskiej, a ciesząc równocześnie nadzieją, że obecnie, skoro Polska cała poczyna o nich pamiętać, lepsze dla Mazowsza nadejdą czasy. I gdy w odpowiedzi jeden z nas w serdecznych słowach zaprasza i jego i drugą brać mazurską do Poznania, gorąca łza radości rosi suchą jego twarz.

Przy śpiewie i miłej, a serdecznej pogawędce przeszedł nam pierwszy wieczór, upiększony serdeczną gościnnością i miłym urokiem młodej pani domu.

W hotelach nowa niespodzianka. Nie ma dla nas miejsca w jednym. W drugim otwarcie przyznają się z teutońską grzecznością, że „für Pollaken“ nie ma pokojów. W trzecim nareszcie, pomniejszym coprawda, znaleźliśmy gościnność. Zaledwie jednakże rozgościliśmy się, zjawił się już przedstawiciel policyi (była *11 w nocy!*), by wysondować służbę, czy wie, że polskich gości hotel agitatorów.

Następnego dnia byliśmy żywą sensacyą Szczytna. Lornetki, wskazywania palcami i różne uwagi pod nasz skierowane były adres, gdyśmy gromadką zwiedzali miasto. Schludne, jak wszystkie małe miasteczka pruskie, mało ciekawe. W żyznej położone okolicy roztacza się nad niewielkiem jeziorem, którego jedna część dzieli je od przedmieścia — wsi zwanej Bartnikami (Beutnersdorf), nazwy przypominającej, że tu kiedyś, gdy puszcze pokrywały ziemię mazurską, znajdowała się osada bartnicza. Tu też dumnie wznosi potężną swą wieżę kościół katolicki. W Szczytnie natomiast podpada oryginalną swoją kopułą zbór protestancki. Dziwnie smutne robi on wrażenie, gdy wejdzie się przypadkowo na „polskie“ nabożeństwo. Germanizacyą odczuwa się wówczas najsilniej. Kościół przepełniony jedynie ludem; inteligencyi, mieszczaństwa nie widać wcale. Oni byli na „niemieckiem“ nabożeństwie, uchodzącem za „fajniejsze“. Pozatem wszędzie widzi się, że ongi kwitł tu kult katolicki. We wielkim ołtarzu tryptyk, przedstawiający zwiastowanie Maryi Panny. W bocznych nawach obrazy treści religijnej i inne zabytki z czasów katolickich. Germanizacya nabożeństwa odbyła się tu powoli. Znana zaciętość mazurska stała na przeszkodzie nagłej zmiany, jeżeli nie wiary, o której w wieku 16 mało miał pojęcia lud mazurski, to przynajmniej

zmianie rytualu. I tak nie dawne jeszcze czasy, gdy pastorzy czyli „panowie księża“ odprawiali nabożeństwa w komżach i stułach; a i dziś jeszcze przypominają sobie ludzie starzy, że pastorzy w ornatach czytali liturgię.

Z pokolenia na pokolenie zmienia się forma obrządków, stając się coraz więcej podobną ogólnemu szematowi protestanckiemu. Jedno je jeszcze różni i to język polski liturgii, kazania i śpiewu. Rzewne na nas robiło wrażenie, gdyśmy słyszeli z nabożnem przejęciem śpiewany hymn ambrożyański „Ciebie Boga chwalimy“. Mazur nader pobożny przejawia i w zborze swoją ongi katolicką przeszłość. Klęczy podczas nabożeństwa, z przejęciem całuje kancyonał, ołtarze na kolanach obchodzi, na odpusty chodzi do „Polszki“, a szczególnie gorliwie czci Maryę Pannę.

Władze duchowne walczą oczywiście przeciw tym „nałogom“; wszelkie ich wysiłki odbijają się jednakże o opór, a przedewszystkiem o przywiązanie do tradycyjnych zwyczajów mazurskich.

Adam Poszwiński.



Krajobraz z nad jezior mazurskich.

Myśli.

Życie — to walka o czarny kęs chleba:
Kto umie walczyć — będzie zawsze syty...
I, choćbyś myślą wybiegł w zabłękity,
Tej czarnej skibki — nie dadzą ci nieba.

Z dziejów upadku Prus.*)

(Wspomnienie historyczne).

VIII.

Bitwa pod Frydlandem**) 14-go czerwca 1807 roku.

Po bitwie pod Iławą, wzajemne osłabienie i przykra pora roku, zmusiły oba wojska do zawieszenia broni, które 1. czerwca Rosyanie pierwsi zerwali, chociaż mieli oświadczyć przynajmniej podług 87. bulletynu Wielkiej armii, że nic już nie stoi na przeszkodzie do otworzenia kongresu w celu zawarcia ogólnego pokoju. Krwawe potyczki pod Spanden, Lomitten, Guttstadt i Heilsberg, były tylko przygotowaniem do wielkiej bitwy, która dzień cały od świtu aż do późnej nocy trwała.

Bitwa ta stoczona pod Frydlandem, pomiędzy Francuzami z jednej a Prusakami i Rosyanami z drugiej strony, jedna z najgodniejszych podziwienia w swym planie, jedna z najkrwawszych, miała także najważniejsze skutki. — Hrabia Beningsen, dowódca rosyjskiego wojska stanął 13. czerwca pod Frydlandem. — Miasto to, położone na zachodnim brzegu rzeki Alle, długi most z przeciwnym łączy brzegiem. — Zamiarem Napoleona było, spowodować Beningsena do przejścia przez ten wązki most na lewy brzeg rzeki, i ściągnąwszy go na pozycyą, którąby mu żadnej prawie możności odwrotu nie zostawiła, ogólną wydać mu bitwę. — W tym celu pewną tylko część sił swoich odsłonił. — Beningsen, w mniemaniu, że ma przed sobą korpus Oudinota, który od niego pod Heilsbergiem wiele ucierpiał, a który teraz zupełnie spodziewał się zniszczyć, rozkazał jednej dywizyi przejść most i miasto, i ogień rozpocząć.

O trzeciej z rana pierwsze wystrzały z dział dały się słyszeć. — Napoleon z wesołą twarzą zawołał: „Szczęśliwy to dzień! dziś rocznica bitwy pod Marengo!“

Francuzi umyślnie słaby stawiali opór, aby się ze swojemi siłami nie wydać; uwiedziony tem Beningsen na wzmocnienie pierwszej drugą wysłał dywizyę. Nareszcie z całem wojskiem, prócz jednej tylko dywizyi, po moście i na pontonach przeszedłszy rzekę stanął pod Frydlandem.

Ale zaledwie ten niepowetowany krok zrobiony został, spadła zasłona. — Francuskie fizyliery posunęły się naprzód, potężne kolumny piechoty wyszły z lasu, w którym dotychczas były ukryte, bateryę artyleryi zaczęły się ukazywać. Wszystko to, i wyznania pojmanych żołnierzy, przekonało Beningsena, że osłabione jego wojsko ma przed sobą całą armią nieprzyjacielską. — Trudno było bronić się w tak niekorzystnej pozycyi, śród równiny otoczonej lasami i wzgórzami; miasto i rzeka czyniły odwrót niebezpiecznym; naprzód postępować, nie pozwalała przemagająca siła nieprzyjaciela i mocna jego pozycya. — Pomimo to, Rosyanie z rozpaczającą walczyli odwagą. — Około południa zdawało się, że Francuzi utrudzeni bojem cofać się zamyślają; ale był to tylko podstęp, aby znużonemu wojsku dać chwilę odpoczynku, a świeże w pole wyprowadzić. — Już była piąta godzina wieczór kiedy Napoleon, zebrawszy wszystkie siły swojego wojska, dał rozkaz do jednego z owych gwałtownych i niczem niewstrzymanych ataków, któremi niepewne losy bitwy zwykł był rozstrzygać. Kolumny nadzwyczajnej siły ukazały się pomiędzy lasami. — Piechota, konnica i artylerya w jednymże czasie uderzyły na całą armią nieprzyjacielską. — Francuzi postępowali naprzód z okrzykami pewnego zwycięstwa, Rosyanie osłabieni stratą więcej niż 12000 zabitych i rannych, ujrzeli się zmuszeni do najniebezpieczniejszego ze wszystkich poruszeń, to jest do odwrotu przez ciasne przejścia w obliczu zwyciężającego nieprzyjaciela. — Główny atak wymierzony był na lewe skrzydło rosyjskie, które nareszcie do odwrotu zmuszonem zostało. — Składająca je

*) Patrz artykuły zamieszczone pod powyższym tytułem w numerach: 41, 42, 44, 48 i 50 r. z. oraz w numerach 5 i 8 r. b.

**) Friedland, miasto położone w Prusach wschodnich w powiecie friedlandzkim w obwo- [illegible]

część wojska, rzuciła się przez miasto ku mostowi i pontonom, i jedynie tylko bezprzykładne męstwo żołnierzy gwardyi rosyjskiej, którzy zwróciwszy się, z bagnetem w ręku na korpus marszałka Neya uderzyli, lewe skrzydło od zupełnego wybawiło zniszczenia.

W tymże czasie spalono most i pontony, aby te przez Francuzów już w mieście będących nie zostały opanowane. Dym, który się po nad walczącymi unosił, powiększał jeszcze okropność tego widoku i nieład uciekających. — Znaczna jednakże część piechoty rosyjskiej, tuż pod miastem rzekę w bród przeszedłszy w miejscu w czasie klęski odkrytem, ujść potrafiła. Środek i prawe skrzydło rosyjskie, wykonało swój odwrót, w dość znacznem oddaleniu poniżej miasta rzekę w bród przechodząc.

Aż do godziny 11. w nocy ścigano nieprzyjaciela, którego stratę w tej bitwie Francuzi na 15 do 18 tysięcy zabitych podali, własną zaś na 500 zabitych i 3000 rannych. Lubo trudno jest temu wierzyć wyznać jednak należy, że Francuzi wogóle o wiele mniejszą ponieśli stratę, niż ich waleczni przeciwnicy, którzy niczem przed ogniem artyleryi francuskiej nie byli zakryci.

Najpierwszym skutkiem zwycięstwa pod Fridlandem, było zajęcie Królewca przez marszałka Soulta; najważniejszym zaś skłonność cesarza Aleksandra do zawarcia pokoju.

W bitwie pod Frydlandem odznaczyli się świetnie Polacy pod Dąbrowskim, mianowicie pułk jazdy, którym dowodził Kazimierz Turno. Wogóle Polacy oddali wówczas wielkie przysługi Napoleonowi, gdyż Dąbrowski zabrał poprzednio Tczew, gdzie wziął 600 jeńców i 7 dział, a Kosiński pędził Prusaków przez Starogard i Chojnice. Także w oblężeniu Gdańska, który kapitulował dnia 26-go maja 1807 r., brali Polacy znakomity udział.



Po szarży.
Pułk ułanów polskich Księstwa Warszawskiego wraca po wykonanej szarży na drugą linią bojową, zkąd cesarz Napoleon w gronie adjutantów kieruje walką. Obok pułku ułanów galopuje pułk strzelców konnych francuskich. Dzielna postawa polskich wiarusów wywołuje zdumienie i zadowolnienie cesarza. Obraz malował sławny malarz francuski Chartier.



Saperzy gwardyi.
Rycina przedstawia saperów pułku guidów czyli przewodników z czasów cesarstwa za Napoleona III-go.

Jam synem Kaszub.

Tam, gdzie Bałtyku szumią jasne wody,
Gdzie w skromnej chatce ma kolebka stała,
Gdzie nad wieżyca Kaszubskie zagrody,
Tam w ojców wierze mię matka chowała.
I rzekła do mnie: „O mój miły synie,
Kto Kaszubą rodem, ten Kaszubą zginie!“

Tam, gdzie Szymbarskie szare sterczą góry,
Gdzie kręta Wisła w polskie morze płynie,
Gdzie dziwną mową szumią stare bory,
Gdzie lud z stałości i skromności słynie,
Tam ma Ojczyzna, kochanie jedyne.
Jam synem Kaszub, i Kaszubą zginę.

Jam synem Kaszub, Polska matką moją
Kocham ją całem sercem mem i duszą;
Póki Kaszuby nasze święte stoją,
Darmo się wrodzy o jej zgubę kuszą.
Lecz służąc Polsce, ja Kaszub nie minę,
Bom synem Kaszub i Kaszubą zginę.

Jam synem Kaszub, skromność ukochałem,
Pogardzam gwiazdy, ordery, zaszczyty;
Ojczyznę kocham mojem sercem całem
A obraz wiary w mem sercu wyryty.
To hasło życia mojego jedyne;
Jam synem Kaszub i Kaszubą zginę.

Jam synem Kaszub! Sławna przeszłość nasza,
Choć cicha w czyny walecznych wojaków
Czczę ojców wiarę, krew w nas płynie lasza,
Mimo ucisku Niemców i Krzyżaków.
Jako syn Kaszub z cichych cnót mych słynę
Jam synem Kaszub i Kaszubą zginę.

Jam synem Kaszub, kocham ja tę ziemię,
I wioski, miasta, pola, lasy, góry;
Kocham swą mowę, całe nasze plemię,
Także kaszubskie, sławne z wdzięku córy.

Przez jaką dolę wśród życia popłynę,
Jam synem Kaszub i Kaszubą zginę.

Jam synem Kaszub! jasna nasza droga!
Wierzę w przyszłości naszej gwiazdę jasną;
Na nic uciski luterskiego wroga,
Uczucia nasze nigdy nie zagasną,
Bo w Bogu samym nadzieje jedyne,
Jam synem Kaszub i Kaszubą zginę.

„Gaz. Gdańska.“
F. S.

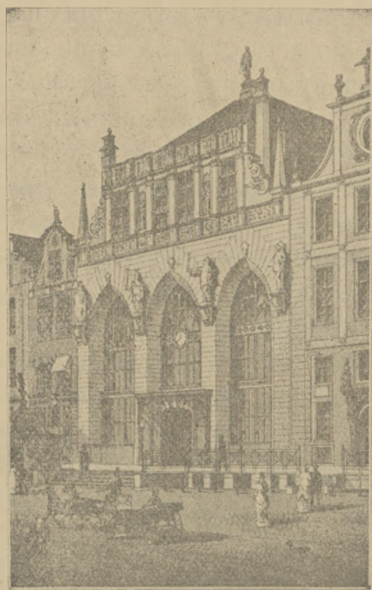
Oblężenie Gdańska
w roku 1813.

(Ciąg dalszy).

Zrażony niepowodzeniami w walce w polu, nieprzyjaciel wrócił do ulubionej taktyki i odgrażania się; szerzył więc w dalszym ciągu wieści przesadne o sile wojsk swoich, o sukcesach „ruchu narodowego“ w Prusach, przyrzekał wynagrodzenie pieniężne za dezercyę i zdradę, groził okropnościami bliskiego już szturmu stanowczego, przemycał, wreszcie, jak mógł, wysłańców swych do twierdzy, by groźbą lub datkiem hojnym wzniecali w szeregach obrońców zgniliznę moralną i zwątpienie. Większość emisyaryuszy tych wpadła w ręce gen. Rappa. Zgodnie z prawem wojennem groził im stryczek. Nie powieszono ich jednak: zgolono głowy i wypędzono z miasta.

W sam dzień Wielkiej Nocy, korzystając z pięknej pogody, urządzono w obliczu zdumionych wojsk nieprzyjacielskich wspaniałą rewię, przyczem Rapp kazał, by „dział i karabinów nie nabijano wcale“. Ewentualność napadu ze strony oblegających wykluczono zupełnie.

O świcie wały i stoki cytadeli, wzgórza Langfuhr, płaszczyzna cała od Stries do Oliwy zaroiły się wojskiem: 7,000 ludzi, z artyleryą i muzyką na czele przeszły wspaniałym marszem, poczem stanęły w szyku bojowym. Lecz nieprzyjaciel nie ruszył się z miejsca, dziwiąc się tej niesłychanej mocy ducha wśród załogi. Że pomysł głównodowodzącego nie obliczonym był jedynie na efekt teatralny, że po rewii animusz oblężonych wzrósł jeszcze więcej, przekonano się o tem po upływie dni kilku najlepiej. W kierunku Nehrung dokonana wycieczka uwieńczyła się powodzeniem zupełnem. Tu 1,500 wojsk garnizonu pobiło na głowę w polu otwartem 6,000 oddział Rosyan, przyczem dostała się tu do niewoli cała kolumna pułku litewskiego oraz kilkuset Prusaków. Nieprzyjaciela ścigano na dalekiej przestrzeni od twierdzy i zdobyto tym razem znacznie większy, niż przedtem, transport żywności i furażu.



Gmach giełdy w Gdańsku.

Załatwiwszy się jako tako z klęską głodu, należało poradzić sobie teraz z brakiem pieniędzy, który coraz dotkliwiej dawał się we znaki. Chcąc zyskać sumy do zapłacenia żołdu potrzebne, Rapp zwrócił się do obywateli Gdańska z propozycyą udzielenia 3 milionowej pożyczki. Transakcya nie doszła do skutku, gdyż podczas prowadzenia układów z bankierami nadeszła



Starożytny dom w Gdańsku, zwany „Angielski“.

wieść o zawieszeniu broni. Wbrew obliczeniom, nowozaciężni Napoleona pokonali wroga w dwóch kolejno następujących po sobie bitwach pod Ludwiszynem i Budyszynem (Lützen i Bautzen). W działaniach wojennych pod Gdańskiem nastąpiła przerwa. Za bohaterską i obmyśloną trafnie obronę Napoleon listem z d. 4 lipca dziękował wojskom, zachęcając do wytrwania w położeniu ciężkiem i nadal.

* * *

Na mocy układu, przedłużającego zawieszenie broni do 10 sierpnia, wszystkie blokowane przez nieprzyjaciela fortece można było zaopatrywać w żywność co 5 dni, przyczem załogom zabezpieczano prawo swobodnego poruszania się w obrębie mili od linii robót oblężniczych. Gdyby warunki te nie pozostały martwą przeważnie głoską na papierze, możnaby było Gdańsk zaopatrzyć w żywność obficie i uczynić zeń punkt niezdobyty. Lecz o sumienne dotrzymanie umowy wróg nie frasował się zbytnio. Przeciwnie, dowódca sił związkowych pod Gdańskiem, książe Wirtemberski na wszelki sposób wykręcał się od zobowiązań, które wynikały z traktatu. Nieuczciwy wojskowy ten spierał się o granicę linii demarkacyjnej, to żądał sądów polubownych, które znów nigdy nie mogły zebrać się, to powoływał się, wreszcie, na brak żywności i podwód. Gdy oblężeni rozprawili się raz rzetelnie z bandą łupiącego konwoju kozactwa, wódz nieprzyjacielski nazwał to złamaniem traktatu i przestał zupełnie przepuszczać wozy z żywnością i korespondencyą. Wobec krętactw, obrachowanych wyraźnie na bezużyteczne dla załogi wyekspirowanie rozejmu, Rapp jął czynić przygotowania do bitwy, co widząc, wódz związkowych zmiękł odrazu i pozwolił na przepuszczanie wozów do Gdańska. Furgony zaczęły zjeżdżać... z zepsutem, zgniłem mięsem, stoczoną przez wołki mąką i leguminami w takim stanie, iż wstręt brał kosztować nawet. I tego paskudztwa nawet przywieziono zaledwie $^{2}/_{3}$ w stosunku do umówionej normy.

W miarę zbliżania się końca rozejmu, oblegającym nadciągały posiłki coraz liczniej. W pierwszych dniach sierpnia sprzymierzeńcy liczyli już 60,000 z górą, posiadali nadto 300 dział ciężkiego kalibru. Pomimo sił tak znacznych, nieprzyjaciel liczył najwięcej na pokonanie fortecy głodem; wbrew warunkom zawieszenia broni strzelał do łodzi rybackich i zajmujących się połowem brał do niewoli. Snać bali się Rosyanie i Prusacy, że kilka funtów szczupaka lub lina wyłowionego przez sieć francuską, przedłuży znakomicie opór załogi. Tyle dowodów złej wiary i zaniku honoru doprowadzały oblężonych do wściekłości. To też z zadowoleniem ogólnem przyjęto do wiadomości list ks. Wołkońskiego, zawiadamiający o rozpoczęciu

na nowo kroków nieprzyjacielskich z dnia 11 sierpnia.

*   *
*

Akcyę zaczepną wódz rosyjski rozpoczął od tego, że szpiegom swym podpalić kazał w Gdańsku magazyny z żywnością. Zamach unicestwiono w porę; dnia 14 sierpnia atakiem znienacka Rosyanie zajęli lasek Oruński. Lasek ów Rapp, bądź co bądź, postanowił odebrać i wnet z nieprzyjacielem wzięli się za łby grenadyerzy francuscy pod wodzą majora Legros. W owych czasach bitwa nie zatraciła jeszcze swojego dramatycznego pierwiastku i malowniczej grozy; nie opierała się, jak dziś, wyłącznie na obmyślanych trafnie posunięciach wojsk oraz celności strzałów. Walki w r. 1813 dawały sposobność jeszcze do wykazania osobistej odwagi, uzdolnienia w sztuce krzyżowej, zużytkowania siły fizycznej i zręczności, wrodzonego męstwa, temperamentu i brawury wojennej.

Wszystkie te właściwości spotkania corps a corps w kampaniach napoleońskich spotykamy jeszcze. Zapasy z blizka odgrywały w nich rolę niepoślednie, a jednym z epizodów takich była też walka o lasek Oruński. W zamęcie i wirze bitwy kapitan Capgran pochwycił oficera pruskiego za włosy i zwalił go na ziemię, lecz w tejże chwili piechur rosyjski zamierzył się nań bagnetem; lejtnant Sabatier pałaszem odparował pchnięcie i przeszył Rosyanina na wylot, sam jednak otrzymał od drugiego piechura cios w szyję. Ostatecznie, Rosyanie nie wytrzymali spotkania mąż z mężem i uciekli z lasku.

Nazajutrz — nowy atak, przyczem utracono Langfuhr w pierwszem złożeniu się. W pościgu za awanpostami Rosyanie natknęli się na strzelców polskich; ci celnym ogniem powstrzymali nieprzyjaciela na razie. Wróg wrócił jednak i masą uderzył na nowo. Wąwozy Jesch i Kenthal zaroiły się od Prusaków i Rosyan, nieprzyjaciel zaatakował Stries i Heiligenbrunn, bitwa wszczęła się niebawem na całej linii, a od Zigangenberg i Ohry zionęły działa francuskie ogniem morderczym. Ustawione na wzgórzu Pitzkendorf armaty związkowych, przez kiepskich obsługiwane artylerzystów milkły powoli, demontowane po kolei, a gdy osłabł ogień dział wroga, w szeregach obrońców ozwały się trąbki do ataku. Oddziały Polaków, Bawarów i Westfalczyków pod dowództwem Szembeka z bagnetem w ręku przepędziły Rosyan z pozycyi i wtargnęły nawet do własnej jego reduty w Pitzkendorf. Zaniechawszy zamiarów zaczepnych, wróg bronić teraz musiał własnych siedzib. Śmierć dzielnego, młodego oficera huzarów Centurione podwoiła razy zaciekłych obrońców Gdańska. Żołnierz nieprzyjacielski ginął tu pod bagnetami bez liku i nie wiele pomogły przysłane na sukurs ćmy kozactwa, rozpędzone niebawem na cztery wiatry przez jazdę Załuskiego i Bela. Na odsiecz spartym potężnie Rosyanom przybyły wojska świeże, ale i Polacy otrzymali posiłki również. O wzgórza Hąsborka (Johannisberg) toczył się bój najzaciętszy. Tu nawalnicy stawiły czoło zwycięsko oddziały Drabiczewskiego, Różańskiego, Zaręby i Zyganowicza. Wróg, odparty na całej linii, cofał się spiesznie, porzucając wszystkie zajęte z rana pozycye. Była godzina 6 po południu. Na polu bitwy zapanowała cisza.



Przystań w Gdańsku.

Na krótko przed nastąpieniem mroków nocnych Rosyanie wszczęli bój na nowo. Atak odparli pułkownicy Kamiński i Szembek. Po równinie, w kierunkach różnych, harcowało kozactwo zajadle; pod strzał nie podchodziło jednak i na widok postępujących wojsk na przód, chyżo zmykało z placu. Tymczasem, niezrażeni niepowodzeniem, dopisującem im stale, sprzymierzeni rozpoczęli znów atak, po raz niewiadomo już który, i w sile wielkiej stanęli przed Orunią, w której zabarykadował się major Schneider. Atak i tym razem nie udał się; jedna z kolumn nieprzyjacielskich, zapędziwszy się nieostrożnie w ulicę główną, zniszczona została doszczętnie. Francuzom nadciągnęły posiłki; poczem zmuszono Rosyan do spiesznego odwrotu. Wobec nieustannych, wszelako, zaciekłych ataków wroga, Rapp rozkazał opuścić pozycyę pod Langfuhr, jako zbyt wysuniętą od twierdzy, nie mającą ważniejszego znaczenia.

Nieprzyjaciel nie spieszył się z zajęciem ewakuowanej pozycyi; lękając się podstępu, nie schodził z wzgórz, zachowując się przez czas dłuższy bezczynnie. Nagle zagrzmiały działa od strony morza: kanonierki nieprzyjacielskie, w liczbie 24, po raz pierwszy przyjęły udział w akcyi. Od bomb zajęły się niebawem domostwa w Neufahrwasser, Schell-Mull, Neu-Sottland i Zigangendorf; na plac boju związkowi wysłali wojska świeże, które sunęły naprzód lawiną, starając się odciąć żołnierzy, ustępujących z Langfuhr. W końcowej rozprawie tej nie zabrakło też epizodów, godnych lutni Homera. Przez tłumy kozactwa przerżnął się sierżant Szatkowski z 13 ludźmi; przyczem nie stracił ani jednego ze swoich. O posiadanie dwóch domów, z których obrońcy nie zdołali wycofać się w porę, staczano boje godzinami całemi. W jednym z domów tych zabarykadowała się garść Polaków i Włochów, stawiając opór niezwalczony; wróg darł się do wnętrza zaciekle, wyrywał palisady, lecz rażony ogniem celnym i morderczym, cofał się znowu. Nie mogąc wskórać siłą, podpalił budynek — i to nie pomogło. Ogień zgaszono, grad kul, którym witano wroga, nie ustał na chwilę. W kłębach dymu i mroku nocnym oba domy zginęły zupełnie i nikt nie wiedział, czy obrońcy trzymają się jeszcze, czy ulegli. Na rozkaz Rappa kap. Marnier i garść ochotników dotarła do domu z prawej strony i w oczach Rosyan wycofała stamtąd bohaterską załogę budynku; do domu na lewo pospieszył drugi oddział z odsieczą. Teraz Rosyanie rzucili się, wreszcie, na rejterującego zwolna przeciwnika. Przez tłum nieprzyjaciół oddziały przebiły się jednak i pomyślnie dotarły do swoich; 24-godzinne uporczywe z wrogiem zapasy, który, oczywiście, dnia tego chciał coute que coute Gdańsk zdobyć, zakończyły się jedynie stratą placówki w Langfuhr. Pozatem Rosyanie i Prusacy, odparci na całej linii, stosami trupów swych zasłali pobojowisko.

Nieprzyjaciel, pokonany na lądzie, postanowił spróbować teraz szczęścia na morzu. W niespełna trzy tygodnie po opisanej rozprawie walnej, o świcie 4-go września fregaty i kanonierki wszczęły nagle ogień gwałtowny, zionąc płomieniem, niby wulkany jakie. Artylerya forteczna odpowiadała ostro i celnie. W pojedynku armatnim znakomicie odznaczyli się, obok Francuzów, kanonierzy polscy. Milewski wystrzałem celnym zatopił kanonierkę, Zaczkowski i Radzymiński uszkodzili inne. Flota nieprzyjacielska, dawszy 9,000 wystrzałów, przekonała się, że

nic nie wskóra, pożeglowała zatem na pełne morze. W okopach Gdańska „naliczono'' dwóch zabitych i dwa zdemontowane działa. Nieprzyjaciel stracił 2 kanonierki i miał 9 fregat podziurawionych kulami.

K. Niedzielski.

(Dokończenie nastąpi).



Z wędrówki po Królestwie Polskiem.

9)

Powiat iłżecko-opatowski.

(Ciąg dalszy).

Za kościołem, nieco w oddaleniu, znajduje się cmentarz, na którym oryginalnością swą zwraca uwagę nagrobek kasztelana Małachowskiego, w kształcie starej wiejskiej chaty; przed paru laty piorun w nią uderzył.

Panorama się nie zmieniła, te same urodzajne niwy, tylko z lewej strony, o wiorst parę od szosy, sterczy wśród falowatej okolicy imponujący kopiec — jakby usypany ręką olbrzymów — a na jego szczycie wznosi się starożytna świątynia Ptkanów; u podnóża kopca rozłożyła się wieś Podole, niegdyś własność p. Henryka Cichowskiego. Ptkanów, pierwotnie był jedną wsią, której zagrody i pola weszły następnie w skład dwóch przyległych wsi: Podole i Rosochy, a nazwa Ptkanowa została przy małym obszarze, otaczającym kościół.

W akcie uposażenia kolegiaty sandomierskiej z r. 1191 podano obok Krzczonowic i Trębanowa, „Bechanów'', w którym możnaby domyślić się pobliskiego wsiom powyższym Ptkanowa (Pkanow).

Tradycya przypisuje założenie starożytnego tutejszego kościoła bądź Duninowi, bądź Templaryuszom, i odnosi fundacyę do połowy XII wieku. Kościół wzniesiony z ciosowego kamienia, stanowił kiedyś warownię, której ślady przechowały się w obwarowaniu cmentarza.

W XV wieku, kościół ten, pod wezwaniem św. Egidiona, zostawał pod patronatem kolejnym właścicieli Podola i Rosochy. Dziedzicem Podola był Domarat herbu Grzymała, Rosoch zas Jakób z Koniecpolu herbu Pobóg.

Po prawej stronie szosy w dolinie, pod samym Opatowem, leży śliczny majątek Zechcin, własność p. Jagnińskiego.

Dojeżdżając do Opatowa, przekonałem się, że równina, którą tak długo jechaliśmy, szła po szczycie wyniosłej góry, i teraz, jak to mówią „z pieca na łeb'' lecieliśmy z szalonym pędem do miasta.

Przed samym Opatowem, ogromna tarcza słoneczna kryć się zaczęła za góry i lasy, i zapadać w niezmierzoną otchłań nieboskłonu. Niebo było przezroczysto-lazurowe, najmniejsza nie brukała go plamka — i gdy już ostatnie promienie zmęczonego całodzienną ożywczą pracą słońca zagasły — zostawiły jednak ślad swej dobroczynnej egzystencyi, w postaci długiej, purpurowo-świetlanej draperyi, zawieszonej fantastycznie na zachodnim krańcu



Na mostku pod Opatowem.

horyzontu — otulając, pokrywając i krasząc tą królewską oponą pola, łąki, krzewy, lasy, dachy chat i wieżyczki kościołów; — i zdawać się mogło, że ziemię całą ogarnia czerwona łanu pożaru.

Woźnica nasz, patrząc na to krwawiące się niebo, przepowiadał na następne dnie wichurę, a przepowiednia co do joty się sprawdziła.

Z zachodem słońca otoczyła nas prawdziwa wiejska sielanka. Wjechaliśmy w środek stada krów, które z głośnym rykiem i zawieszonemi na karkach dzwonkami lub drewnianemi klekotkami, wolnym krokiem wracało do wsi, dalej ciągnęły się całe gromady owiec, z małemi beczącemi jagniątkami — a za tą wesoło wracającą do obór czeredą, biegło kilkunastu rozbawionych pastuszków, przygrywających melodyjnie na fujarkach.

To znów mijały nasz wózek olbrzymie drabiniaste wozy, naładowane drzewem, a rozochoceni fornale głośno pogwizdując i trzaskając z biczów, zachęcali koniki do szybkiego biegu. Od czasu do czasu wjeżdżaliśmy w gromadę dziewcząt i parobków, wracających z całodziennej pracy; spiesząc na wieczerzę z przewieszonemi na ramionach sierpami, i skracając swój pochód, zawodziły wesołą piosnkę, która daleko rozbrzmiewała echem dokoła.

Zdala unosił się w powietrzu głos dzwonów wiejskich kościółków, wzywając lud do odmawiania modlitwy wieczornej na „Anioł Pański''. To znów słychać ze wszystkich bliskich i dalszych wiosek, na różne tony, głośne psów szczekanie — a do tej całej, oryginalnej i sympatycznej głośnej orkiestry, z różnych stron rozbrzmiewa klekot bocianów, spieszących z całodziennego żeru na swe gniazda i głuchy jeszcze rechot milionów żab, ukrytych w stawach i błotach — to dziwny, melodyjny, nieokreślony dźwięk tysiąca milionów, skaczących po rżyskach polnych koników — nawoływanie kuropatw, głos „pójdźcie żąć'' miluchnych przepiórek — a w górze — świergot różnorodnego drobnego ptactwa, świst kulonów, kwakanie przeciągających stad dzikich kaczek, i rzewny śpiew skowronków, opuszczających się z niebiosów ku ziemi.

I cały ten gwar, te krzyki, śpiew, nawoływania — te melodyjne tony zlewały się w jedną harmonijną, cudną, niezrównaną całość — którą tylko od czasu do czasu przerywało i na chwilę mąciło — jak zgrzyt żelaza — fałszywe, złowieszcze krakanie przelatującego wron stada....

VII.

Opatów znajduje się w głębokiej kotlinie, otoczonej ze wszech stron wyniosłemi górami, zdala robi wrażenie dużego, ładnie zabudowanego grodu, a zawdzięcza ten wygląd czerwonym dachom kamienic i wieżyczkom kościołów. Przedewszystkiem każdemu przybywającemu do Opatowa rzuca się w oczy na górze, ogromny park czy las, otoczony murem; jest to miejscowy cmentarz.

Woźnica wstrzymuje konie; ale mimo to lecimy w przepaść z szybkością lokomotywy, wtaczamy się w parów, ze szczytu którego opuszczają się ku nam drzewa i krzewy, z położonych w górze ogrodów — wpadamy na most rzucony przez rzekę Łukawę czyli Opatówkę, która obraca olbrzymie koła, położonego tuż przy moście młyna i znowu wolno pod górę przejeżdżamy przez starożytną bramę Warszawską.

Choć na niej znać, i to bardzo, ząb czasu — choć poszczerbiona z powyłamywanemi kamieniami, krzepko się jednak trzyma, i szydzi i urąga naszej niewdzięczności i niezaradności...

Tuż za bramą wznoszą się wysokie fundamenta Kolegiaty Opatowskiej, podziwiać każą oryginalność w ułożeniu i oryginalniejsze jeszcze spajanie kamieni.

Wjeżdżam na obszerny rynek; jest on jedyną ozdobą miasta. Tu stają rzędem murowane kamienice, tu prawie cała inteligentna część mieszkańców ma swoje pomieszkanie, tu pomieszczone są wszystkie biura — i tu mieści się hotel i restauracya, apteka i odwieczna cukiernia pani Królokowej..., która i dziś, jak przed 50-ciu laty, drobnemi i pomarszczonemi rękami rozdaje smaczne ciastka....

Wogóle wszystkie miasta powiatowe — i miasteczka prawie w całym kraju, nie grzeszą porządkiem i czystością, i nawet za lat wiele nie dorównają podobnym zagranicznym miastom. — Opatów jednak, zdaje się, że wśród wszystkich wyróżnia się tak pod względem hygieniczno-sanitarnym, jak i pod każdym względem. Na środku ulic kupy śmieci i gnoju, a woń z zarazkami najrozmaitszemi daleko się roznosi.

Wprawdzie miasto przeważnie składa się z mieszkańców wyznania mojżeszowego, mimo to, ojcowie miasta, przy dobrych chęciach mogliby jakiś ład i porządek zaprowadzić. A jednak w tym kierunku nic nie zauważyliśmy, wpadają tylko w oczy setki włóczących się i próżnujących faktorów, którzy całemi dniami podpierają domy i wyczekują, żali nie nadejdzie jaki gość nowy — to też otoczeni zostaliśmy tą zgrają, i ledwo mogliśmy dobić do hotelowego numeru. A przecież ten Opatów i tak zaniedbany, tak po naszemu traktowany, był niegdyś znakomitym grodem... i na kartach dziejów zajmował niepoślednie miejsce.....

Wrzał życiem, przyjmował w swoich murach dygnitarzy państwa, którzy tu często zjeżdżali, radząc o sprawach całego kraju — odpierał nieraz mężną piersią najazd nieprzyjaciół — a miał także i szczęście podejmować nieraz swych królów.

Opatów wielce, starożytna osada w XII wieku, własność biskupów lubelskich, następnie zakonu Cystersów, którzy objęli obowiązki nawracania Rusinów, przez swoich poprzedników wypełniane*). Templaryusze w roku 1154 zostali sprowadzeni do Opatowa przez Henryka Księcia Sandomirskiego, syna Bolesława Krzywoustego. Po śmierci jednak Leszka Białego, gdy Henryk Brodaty książę wrocławski, opiekował się małoletnim Bolesławem Wstydliwym, Wawrzyniec biskup lubelski w ścisłych z nim stosunkach żyjąc, w latach 1238 do 1242 upominał się o dawną zakonu własność, i przedstawiwszy swoje prawa, odzyskał je napowrót — co też zatwierdził Bolesław Wstydliwy.

Biskupi lubelscy chociaż długo nie mieszkali w Polsce, o dziedzictwo jednak swoje dbali, i jeden z nich, biskup Wilhelm, wyrobił u Leszka Czarnego przywilej, że Opatów zamieniono na miasto. Tenże sam książę innym przywilejem w roku 1262 uwolnił je od pewnych opłat, a nadanie to zatwierdził Władysław Łokietek 1313 roku.

Wkrótce Jan, biskup lubelski, wypędzony przez Ludwika margrabiego brandenburskiego ze stolicy swej nad Odrą, przeniósł się do Opatowa i tu pałac dla następców swoich wystawił. Biskup zaś Stefan II, uzyskawszy od króla polskiego zapewnienie swych posiadłości, 1318 roku stale tu osiadł. Tenże sam biskup skupiwszy od kapituły grunta, nowy Opatów obok starego założył i potwierdzenie Kazimierza Wielkiego uzyskał w roku 1342; następca zaś jego, biskup Henryk w r. 1368 dobra w Polsce położone, wraz z całem biskupstwem i kapitułą lubelską, pod protekcyą królom polskim poddał, co też ostatecznie umową, zawartą w roku 1369, po śmierci poprzednika, Piotr biskup lubelski dokonał.

Stare miasto Opatów położone było na górze, gdzie teraz kościół i klasztor po-bernardyński się wznosi. Nowe zaś tak szybko wzrosło, iż je dla odróżnienia wielkim Opatowcem nazwano. Takim musiało być istotnie, gdyż mamy w historyi o nim wspomnienia i o zjeździe tutaj monarchów i monarchiń polskich.

Władysław Łokietek, zagniewany na biskupów, zabrał im dobra, lecz wkrótce, wskutek napomnienia Papieża, wrócił je w r. 1328.

W kilkanaście lat potem, w Opatowie ruch ogromny — bo ma się tu odbyć wielka uroczystość. Do miasta zjeżdżają dwaj przysłani od Benedyktyna XII. papieża, sędziowie duchowni, którzy mają wydać wyrok w pamiętnym procesie Kazimierza Wielkiego z Krzyżakami — względem szkód od Zakonu poniesionych — działo się to w r. 1339 — posłanniki wysłuchali przysięgi króla, która odbyła się w domu Bibuskiego. Można się domyślić, jaki był tu zjazd dygnitarzy i szlachty okolicznej.

Władysław E. Zapaławski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Opuszczoną przez nich tutejszą siedzibę zabrali i od godności swoich przełożonych — opatów, Opatowem przezwali.



Rynek w Opatowie w chwili jarmarku.

Na Powiślu.

Noc była widną; właśnie przed godziną wszedł księżyc. We wzmagającym się a srebrzystym poblasku sklepienie niebios zdawało się pogłębiać i rozrastać i coraz potężniejszym półkręgiem ogarniać szarawą ziemię.

Od pól dojrzewających wionęły ku niebu zapachy zbóż i kwiecia. Chwilę jeszcze ważyła się ponad wszystkiem ciemność przesycona tą słodką wonią, potem stopniowo wsączyły się wiotkie, srebrne promienie.

Z mroku wystąpiły łany owsa dorodne, o kłosie już wybujałym, a pełne cichego, urywanego szeptu. Nieco dalej jęczmień szeleściał długim włosem. Wspaniały bober zarysował się ciemną, wysoką, zwartą ścianą; chmiel na tyczkach wydawał się fantastycznym gajem, a nizko po ziemi słały się pola cukrowych buraków.

Tłumione były po nocy przebogate barwy tej krzepkiej, urodzajnej, upraw-

nej, a mądrej ziemi; ale przecież w powietrzu unosiły się bezustanku i jakby w wielkim oddechu, żywiołowa moc jej, dostojeństwo i radość.

Plon, już blizki plon...

Droga bielała między wierzbami. Od granicy pól szum przyleciał. Pogwar i bełkot jakiś coraz to wyraźniejszy, im bliżej do nasypu, do ochronnego przy Wiśle wału.

Wązka ścieżka, która się wije. Rosochate wierzby głowacze pod wałem gęsto siedzą. Wąziutka ścieżka w górę, w pośród wysokich ostów i bujnej trawy...

* * *

Na wale pogaszono pochodnie. Było już dosyć widno. W księżycowej poświacie czerniały tu i owdzie poruw broniących chłopskich rękach. Sypie się piasek w obliczu fali, która zaraz dosięgnie: jeszcze cal, jeszcze chwilka.

Drży miejscami wał podmywany gwałtownie: ciurkiem przez otwór poczyna płynąć strumień. Świeżą wyrwę wnet zatykają pilne dłonie garściami trawy, pszenicy, żyta, ale oto druga i trzecia.

Krzyżują się w powietrzu urywane wołania.

Z odległości okiem nieprzemierzonej, idąca wielką zlewą płynęła fala — jak świat.

Szumi Wisła.

Pociągnął wietrzyk rzeźwy, przedranny. Nisko nad wodą przeleciała z żałosnym, ostrym krzykiem rybitwa. Zbielało już głębokie niebo. Brzegi Wszystka przestrzeń powietrzna i wszystka ziemi rozległość wypełniła się teraz białawą, bardzo lekką szarością, w której jednak mąciły się kształty i zacierały granice.

Cicho było. Tam w oddali wezbrany bełkot wody: tu jeszcze cisza; jakby godzina wypoczynku, jakby błogosławieństwo przyrody.

Poranny wiatr niewidzialny westchnął we mgłach świtania. Zakołysały się kłosy ciężarem pobliskiej już dojrzałości i słodyczy plonu.

Nastraja się głos od ziemi.

Pieśń wschodu słońca.

Zbierane do niej dźwięki przerozmaite, subtelne, nieprzeliczone. Każde źdźbło swój posiada, każdy kłos, każde kwiecie; ton delikatny, perlisty,



Odpoczynek.

szające się żwawo gromadki ludzi. Nawoływały się przeciągle głosy.

Tuż poza wałem i niemal dosięgająca jego grzbietowej linii, szła z głuchym łoskotem spieniona, groźna woda. Wisła rozlała, jak wokół spojrzeć, szeroko.

Hen! kładły się na szarej powierzchni drgające smugi księżycowego blasku. Z odległości okiem niewypatrzonej nadchodziły zlewiska wód mętnych, bełkocących, złowieszczych. Gdy przemijały, już wnet za niemi z naporem i szumem płynęły inne, nowe.

Powódź za chwilę zgóruje ochronny nasyp. Jeszcze cal, czy półtora cala.

Straszliwą stała się bliskość wzdętej, rosnącej wody. Plusk złorzeczy, pogwarza, kipi. Chyżo migają łopaty lądu okryły się gęstym oparem. Wśród utajonych zarysów i kształtów jedynie widzialna pod ogromnem sklepieniem wezbrana, szara rzeka.

Nagle w powietrzu zabrzmiały strwożone, dyszące głosy:

„Dawaaj żyta!“

„Prędzej! laboga! żyta dawajcie i trawy!“

„Zatykać! Bójta się Boga! prędzej!“

„Strzyma!“

„Nie strzyma!“

„Prędzej!“

A potem krzyk ogromny, rozpaczny: „Ludzie, uciekać! Ratujta się, ludzie! ludzie!“

* * *

Nadchodziło świtanie.

Nad głębiami pól leżał spokój. albo rozwie..ny, oddzielny, właściwy sobie.

Rychło ku zorzy podniesie się słodkiem graniem, hymnem szumów i szmerów, błogością, iż dzień się rodzi.

Świt osrebrzył wyraźnie powierzchnię długiego łanu jęczmienia: widna już była dojrzewająca barwa i śliczne, powiewne kiście kłosów.

Ale oto rzecz niespodziana i od której po wszystkiem polu powiało nieuchwytnym dreszczem zgrozy. Spodem omywając źdźbła szeleszczące, z cichym bełkotem wsączała się mętna woda.

Waży się chwila strachu. Nad zagonami, nad mocą rodzajnej gleby. Uczucie trwogi głuchej; wstrzymany oddech ziemi.

W zwartej tężyźnie rysowała się

ściana bobiku: ciemna zieloność i w pośród niej bogactwo tworzących się młodych strąków.

Ale u dołu już się łodygi ponurzały w brunatnej, pluszczącej wodzie.

Powietrze nasiąkało perlistem, chłodnawem jeszcze światłem.

Gdzieś w oddali, z wyżej położonej osady odezwał się nagle kościelny dzwon na trwogę.

Zadygotał, zadźwięczał i zmilknął.

Idzie czas nad tragedyą życia.

Z za krańca horyzontu ukazała się głowa słońca. W powietrzu poprzetykanem złotą siatką promyków rozwiązały się skrzydła chwili; głuche, trwożne uczucie zsunęło się na ziemię, pobiegły w podłuż zagonów przeciągłe ciche dreszcze.

O, zgaszona radości! O, stłumiony hymnie do zorzy! O, żalu! żalu!

Jest pole owsa, który wybujał do przepysznego plonu; żałośliwie unoszą się delikatne, przedziwne w rysunku kłosy, a dołem już wszędy idzie niegłośne, tajemnicze, nieubłagane pluskanie. Woda wdziera się piędź po piędzi.

Zagarnia.

O, nadziejo ty, więdnąca bezpłodnie! bólu! bólu!

Po wszystkiej przestrzeni przeleciał szept powietrzny, dźwiękiem żadnym niewyrażony; szept jedyny zbóż dojrzałością owocnych, a które muszą umierać.

Zwolna podnosiło się słońce na niebieskiem sklepieniu; uciekały zaróżowione obłoki.

Płynie czas nad tragedyą żywota.

Zapach zbożny i kwietny jeszcze przez długą chwilę mieszał się z pluskiem zagłady.

Jadwiga Marcinowska.





Po wodę.

Na fujarce.

Ta fujarka, ta wierzbowa,
Tak przedziwnie czasem gra...
W tej fujarce, rzekłbyś, chyba
ludzkie serce drga.

Jak rozśpiewa się tęsknotą
Zdaje ci się, żeś sierotą
Tak ci kogoś brak...

Tak ci kogoś brak okrutnie
Tak ci tęskno, tak ci smutnie,
Taki jesteś sam...

Chciałbyś wyczuć ciepło dłoni
I wyciągasz ręce do niej.

Wtem pieśń cichnie
Obraz niknie
A ty, znowu sam...

Ej, fujarko ty wierzbowa,
Czar się jakiś w tobie chowa,
Jakaś kryje moc, —

Pieśnią duszę mi czarujesz,
Widma dziwne wywołujesz
Graj mi jeszcze, graj!

Słychać kędyś dzwon cmentarny —
Widać krzyżyk jakiś czarny —
Słychać jakiś jęk...

Pusto... zimno..., ale oto pieśń się
zmienia,
Blask ci duszę opromienia
Serce w piersiach drży...

I ze mglistej szarej mroczy
Patrzą na cię czyjeś oczy,
Słodki słyszysz głos.

Nie oddałbym cię za złoto,
Boś ty życia mi ochotą,
Skarbem jesteś mi!...

Jednak, za serce dziewczyny,
Ej, fujarko ty z wierzbiny,
Oddałbym cię ja!...

Janina Rożańska.

Myśl.

Poczya w życiu nigdy nie popłaca;
pracą rąk więcej zdziałasz niż mózgami,
jednak — choć życie chłoszcze cię rózgami:
jeśliś poetą — poezja cię ozłaca.

Niemowlęta w lecie.

(Pogadanka hygieniczna).

W żadnej porze roku maleńkie dzieci nie są narażone na tyle rozmaitych dolegliwości, co wśród upału lata. Dolegliwości te pochodzą najczęściej z niedbalstwa matek i piastunek. Często się widzi niemowlę przykryte grubą pierzynką wśród gorącego dnia, gdy cienka kołderka zupełnie byłaby wystarczająca. To znów posadzą dziecię na kamieniach, które nawet wśród lata są zimne i przykre w dotknięciu. Jeżeli można, najlepiej posadzić dziecię na białym piasku, aby się w nim bawiło. Lekarze zalecają to, jako nader zbawienne dla dzieci wątłych i bezkrwistych.



Młody murzyn z puszczy Sahary.

Słońce — to niewyczerpane źródło światła, ciepła, to ognisko wszechżycia jest i dla niemowlęcia ogromnem dobrodziejstwem. Nie powinno jednakże nigdy słońce świecić wprost w oczy dziecka, które tym sposobem osłabione na całe życie pozostają.

Przebywanie na świeżem powietrzu, w miejscu ocienionem, zacisznem, w ogródku lub pod drzewem bardzo zbawiennie oddziaływa na dziecko. Widok pogodnego nieba, kwiatów, zwierząt rozwesela jego oczki i duszę, wyziewy roślin wzmacniają jego płuca i odżywiają krew. Spokojnie bawi się, choć samo ze sobą i smacznie zasypia. I chore dzieciątko może i powinno w podobny i cichy dzień przebywać na dworze. Nie żałujcie przeto matki dzieciom waszym słońca i powietrza! Niech podczas lata używają tych dobrodziejstw, których są pozbawione w dni słotne i mroźne.

Dziecię na dworze narażone jest szczególnie podczas snu na kłucie owadów, drażniące dotkliwie jego delikatną skórkę. Można od tego uchronić małe dziecko, przykrywając je cienką gazą lub muślinem. Tkaniny takie przepuszczają dobrze powietrze i zabezpieczają dziecku sen spokojny.

Ponieważ mleko w lecie często kwaśnieje, przeto z wielką starannością należy czuwać nad czystością butelek i smoczków (korków gumowych), aby dzieci pojone butelką piły zawsze mleko świeże. Butelki i smoczki gumowe powinny zaraz po użyciu być wymyte w ciepłej wodzie i włożone w zimną.

Niedobre są smoczki z gumową rurką, która się ciągle zanieczyszcza, a nie może być tak gruntownie wyczyszczona, jak czarny gumowy smoczek, tani i trwały.

Mleko, choćby odrobinę kwaśne, wywołuje dolegliwości żołądkowe u małych dzieci. Jeżeli więc mleko skwaśniało, a dziecko głodne płacze, można je uspokoić herbatą rumiankową, lipową lub miętową, a w braku herbaty słodką wodą, którą chętnie pije. Radzę matkom herbatę dawać zawsze raz na dzień, albo w nocy dzieciom zdrowym i chorym.

Bardzo naganny to i obrzydliwy sposób zaspakajania dziecka dawać mu w buzię cukier zawinięty w łatkę. Szmatek często brudny, brudną ręką podany uspokoi dziecię chwilowo, ale może spowodować niewiem jakie choroby. Daleko lepiej dać jakiś przedmiot czysty i twardy, np. skórkę chleba (nie miękki środek, bo skórka lepiej wypieczona). Choć małe drobiny skórki zostaną połknięte, nic to nie szkodzi.

Czystość, pierwszy i najważniejszy obowiązek matki względem niemowlęcia, podwójne ma znaczenie w lecie, gdy kurz i pot zanieczyszczają ciało. Czystość, to połowa zdrowia. W najuboższym stanie można zachować pewną czystość ciała, odzieży, sprzętów i mieszkania. Brud, to źródło wielu chorób i cierpień małych dzieci.

No... i już!

No... i już!
Jeśli ci się która uda,
Bracie! nie trap się!
Bo czy tłusta, czy to chuda
Każda chłopca chce!
Oj! dana!
Każda chłopca chce!
Pod okienkiem o wieczorze
Trwaj do rannych zórz,
A obaczysz, że pomoże...
No... i już!
Chodź! pospieszaj! wzdychaj czasem,
A nie żałuj słów!
Mów: że czekasz ją pod lasem,
O kochaniu mów!
Oj! dana!
O kochaniu mów!
A gdyście się już zwąchali
Czapkę z pawiem włóż...
Poproś ojców, by ją dali...
No... i już!
Czy ci dadzą, czy nie dadzą —
Ciągiem swoje rób!
W końcu sami przyprowadzą,
Byle jeno ślub...
Oj! dana!
Byle jeno ślub!
Bo przed sercem a ochotą
Nic ustrzeże stróż.....
Jeszcze będą prosić o to...
No... i już!!

Myśl.

Czy to w doli, czy w niedoli,
orlą myślą dąż na szczyty:
To, co bólem jest — przeboli,
jeśli w duszy masz — błękity.

Pan Izydor Fajgeles.

Sylwetka z bruku.

(Humoreska)

— Icynie lubo! — powiadała zawsze pani Amalia Fajgelesowa do swego małżonka, pana Izydora Fajgelesa, bankiera i właściciela czteropiętrowej kamienicy w Poznaniu — Icynie, lubo moje! ty jezdesz mądry jak sam majlech Szłojme... jak sam nieboszczik cysarz Salomon!

Tak mówiła pani Malkusia bankierowa w jedwabnej sukni, z brylantowymi „kulczykami" w odstających uszkach — i rączką pulchną jak pieróg ze serem, a zdobną w dwanaście pierścionków drogocennych głaskała „swojemu kochanemu mężu" szpakowate bokobrody...

A pan Icyk — pardon! — Izydor Fajgeles, bankier i senzal giełdowy „pozebował si uśmichać" z zadowoleniem i nadąwszy się ambicyą krociowego plutokraty, poklepał „swoje Malciuńci" pieszczotliwie „na" wypukłe jedwabie sukni.

Doprawdy bo trzeba było mądrości nie lada, ażeby z handlarza starzyzną, później kupca małego sklepiku bez okna i pieca — ożeniwszy się z posagiem trzystomarkowym, w przeciągu lat dwudziestu doprowadzić do trzykrociowego majątku!...

Droga do tej wyżyny była co prawda ciernista... bo i o więzienia kraty zawadziło się po bankructwie i parę „obrazów honoru" przylepiło się na bokobrodach od wyzyskanych dłużników — ale kapitały rosły, wdzięki pani Malci także i dziś dzięki „rozumowi" Icynia spokojnie czekało się starości.

Trzeba przyznać, że pan Izydor miał w istocie spryt i dowcip nielada. W naiwnej formie wypowiedział się nieraz tak cięto, że i niejeden Schrajbjingeles nie byłby się lepiej wykręcił...

Opowiadano naprzykład, że gdy jeden z kolegów bankierów ujrzał u niego na ścianie gdzieś na licytacyi widocznie kupiony obraz oryginalny pewnego artysty i chwalił go niezmiernie — pan Izydor z niedbałością magnata odpowiedział:

— Tak, tak, wcale nie złe... I proszę tylko popatrzyć, że choć to jest ręczne malowanie, jest tak doskonałe, że musi być dobry znawca ten, co go odróżni od olejodruku!...

Kasyno „wołowe" śmiało się z tego „witzu" przez tydzień.

Mówiąc o swej zamężnej córce zwykł był podawać objaśnienie co do adresu:

— Moja córka, pani Salomeja doktorowa mecenasowa Hopfenstangen... ulica N. N. 48 pirsze piętro, 10 pokoi z łazienką na front!...

Najlepszy jednak kawał, jak powiadają, udał się panu Izydorowi w sądzie, kiedy przyciskany do muru przez sędziego śledczego tak się wykręcał z odpowiedziami, że zrozpaczony inkwizytor zawołał:

— Mój panie Fajgeles, ja z panem do końca nie dojdę w ten sposób!... Ja o czem innem, pan o czem innem... ja tędy, pan owędy.... Tak nie można! Proszę być cicho i nie mówić nic. Ja tylko będę stawiał pytania, a pan odpowiesz wedle sumienia szczerą prawdę w jednem słowie: *tak* albo *nie!* Rozumiesz pan?

— Dlaczego nie mam rozumieć? — odparł pan Izydor — ale ja na to nie przystanę.

— Z jakiego powodu?

— Bo pan sędzia mógłby mi takie pytanie postawić, na które się nie może odpowiedzieć ani „tak" ani „nie!"

— To niemożliwe! Co pan plecie?

— Ja pletę? Ja nie pletę! Ja panu sędziemu zaraz zadam takie pytanie, a pan mi nie odpowie ani „tak" ani „nie!"

— Proszę! bardzo proszę!

— Przepraszam pana sędziego... ale pan sędzia się nie będzie obrażać na mnie... co?

— Ale zapewniam pana, że nie..... proszę, pytaj pan!

— Nu dobrze!... ale... panie sędzio! pan się nie obrazi?!

— Ręczę panu słowem, że nie!

— No to ja już wierzę. Niechże pan sędzia odpowie mi na pytanie, ale nic więcej, tylko „tak" albo „nie"... *Czy pan sędzia jest hakatystą?*

— Co pan sobie myślisz!? — skoczył sędzia — jak pan śmiesz egzaminować mnie z polityki kresów wschodnich...

— Nu... przepraszam! pan sędzia się obrazi... ale proszę tylko na zapytanie odpowiedzieć jak była umowa!... No!... czemu pan sędzia nie mówi ani „tak" ani „nie?"...

Sędzia musiał w żart obrócić całą scenę...

Pan Izydor jednakże wyszedł z procesu obronną ręką, bo nie powiedział „tak!"...



Murzynka z puszczy Sahary.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 9-go czerwca 1044 Władysław Jagiełło nadaje przywileje Wschowie. — 1505 urodzenie Władysława IV. — 1831 bitwa pod Uchaniami.

Dnia 10-go czerwca 1651 Jan Kazimierz przybywa do Częstochowy. — 1669 sejm elekcyjny.

Dnia 11-go czerwca 1401 połączenie Litwy z Koroną w Wilnie. — 1448 kłótnie z Litwą o Wołyń i Podole. — 1576 wjazd uroczysty Stefana Batorego do Warszawy.

Dnia 12-go czerwca 1809 pobicie Austryaków pod Wrzawami. — 1831 niedobitki powstania wołyńsko-podolskiego chronią się do Zamościa.

Dnia 13-go czerwca 1611 zdobycie Smoleńska. — 1669 Michał Wiśniowiecki ogłoszony królem.

Dnia 14-go czerwca 1793 otwarcie sejmu Targowiczan w Grodnie. — 1807 Polacy w bitwie pod Friedlandem.

Dnia 15-go czerwca 1440 Kazimierz Jagiellończyk obejmuje rządy Litwy. — 1794 Prusacy zajmują Kraków.

Humor i satyra.

Bajka.

Skazano na śmierć dwóch rosyjskich socyalistów: „Bolszewika“ i „Mieńszewika.“

Prowadzi ich kat do lasu, aby tam ich powiesić, prowadzi „Bolszewika“ na długim sznurku, a „Mieńszewika“ na krótkim.

Przed karczmą się zatrzymał.

— Wartoby wypić wódki.

Wstąpił. Pije.

— A nie boisz się, że ci skazańcy ucieknął? — pyta go karczmarz.

— Nie ma o to strachu — odrzekł spokojnie, niosąc kieliszek do ust.

Jakoż wychodzi z karczmy. Obaj socyaliści stoją. Przez cały czas tak się zażarcie kłócili o wartość swoich zasad i metod, że nie mieli chwili na pomyślenie o ucieczce.

Ciągnie więc ich kat do lasu.

Zaciągnął.

Tu im powiada:

— Wiecie co, chłopcy?! Rozmarzyła mnie ta wódka. Chce mi się przespać. Pożyjcie wy sobie jeszcze godzinkę, co tam! A ja się tu zdrzemnę.

I położył się na mchu.

Wtedy jednak powiada „Bolszewik“ do Mieńszewika“:

— A gdybyśmy tak, zamiast dać się powiesić przez niego, sami go powiesili? Co? A potem drapaka?

— Genialna myśl!

— Więc dalej do roboty!

— Jazda na całego.

— Dawaj sznur.

— Co? na moim sznurze?

— Ma się rozumieć.

— Nigdy w życiu. Ty daj sznur.

— Co? ja? mój sznur?

— Oczywiście.

— Za żadne skarby.

Jak się zaczęli sprzeczać a kłócić, tak się kat obudził.

— Nie z mojej drzemki przy tym hałasie — powiada ze złością. — Muszę was, jak widzę, naprzód powiesić, a potem się dopiero będę mógł przespać. Jazda na gałęź.

I powiesił obu. „Bolszewika“ na długim sznurze, a Mieńszewika“ na krótkim.

....Do ilu to partyi, nietylko rosyjskich, da się uczynić z tej bajki alegoryę ....

* *

Pan Kacper.

Miał pan Kacper lat trzydzieści
I był chłop jak skała.
Kochał go ci ród niewieści,
Każda doń się śmiała...

Więc pan Kacper dumnie stawał,
Nos zadzierał w górę
I nie jeden spłatał kawał —
Taką miał naturę!...

Zmienne losów są koleje,
Zmienna jest płeć słaba. —
Dziś do Kacpra się nie śmieje
Nawet stara baba!....

Śmigła po nim czasu kosa,
Stracił swą naturę:
Już nie może zadrzeć nosa
Tak jak dawniej, w górę!...

* * *

Tego się nie spodziewał.

Pan Raptułkiewicz zaprosił pana Pieczeniarskiego na kolacyę.

— Ale z góry ci mówię, — powiada doń — że nic nie mamy prócz łososia i befsztyku.

Pieczeniarski przyszedł i gdy podano łososia a potem befsztyk, pałaszował, aż mu się uszy trzęsły. Lecz zaraz po befsztyku pani domu przynosi dziczyznę, gęsinę, pyszne pierogi, świeżutki omlet, lody i t. p. Pieczeniarski patrzy na to wszystko z wielkim żalem, bo już nie ruszyć nie może i wreszcie odzywa się do Raptułkiewicza:

— No, wiesz, od kogo jak od kogo, ale od ciebie, od długoletniego przyjaciela nie oczekiwałem, żebyś mnie tak wykiwał — tego nie spodziewałem się.

Logogryf.

Ułożył Czytelnik „Pracy“ St. Popiel z Rzochowa (Galicya).

Z następujących sylab: a—an—der—la—le—lo—nie—nie—o—pią—pol—świe łek—uk—zo—zów— ułożyć 6 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwy dwóch stołecznych i znacznych miast polskich

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Nazwa dnia.
2. Ziele trujące.
3 Powieściopisarz francuski.
4. Przezwisko tępego ucznia.
5 Bożek grecki
6. Siedziba Radziwiłłów.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 15 czerwca.

Rozwiązanie logogryfu z nr. 20-go „Pracy.“

1. **K**armel.
2 **A**rgo.
3 **R**oguza.
4. **O**leśko.
5. **L**itawa.
6. **L**itwin.
7. **I**ganie.
8. **B**allada.
9. **E**[illegible]etyk.
10. **L**[illegible]b[illegible]a.
11. **T**abaka.

Karol Libelt.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania*: pp. Ludkowski i Janek z pod Góry Przemysława; *z prowincyi:* pp. Ewa Rugi z Krotoszyna, Józefa Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem; *z Gornego Śląska:* pp. Józef Knopp z Zabrza; Franciszek Oleszko z Kunar pod Wieszową i Jadwiga Badura z Roździenia.

Nagrodę otrzymali pp. L. Ludkowski z Poznania, Józefa Kolańczyk z Kowalewa pod Pleszewem i Franciszek Oleszko z Kunar pod Wieszową.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

28)

GADY.

POWIEŚĆ Z XIV WIEKU.

(Ciąg dalszy).

Mary i dziwotwory nasuwa noc — dzień rozprasza. Ze spalonemi usty gorączką rozbudził się kasztelanic; znać było na nim snów mękę, która patrzyła przez oczy jego zapadłe. Jagody pobladłe miał, wargi bezkrwiste, pomimo to siła i moc wyzierały z pod onej powłoki cielesnej, jak promień słońca z za chmur, którego żadna zasłona nie skryje. Czasami jeno dreszcz jakiś przez ciało jego przebiegł, oczy nagle a szeroko otwierały się, jakby dostrzegały widmo jakieś przed sobą i bladło mu czoło śmiertelnie, wewnętrzną mękę znać było, a ból, które jednak precz odganiał postanowieniem pewnego zamiarów swoich męża. Wtedy żarzyły się oczy blaskiem dziwnym, niby gromnice dwie nad ciałem zmarłego zapalone. Lecz jeden Wolffram tylko wiedział, jakie tam rojenia a sny na marach się kładły, jakie tam biły dzwony pogrzebne, co się ukryło w trumnicy duszy młodego Święcy i w pył się rozpadło a proch. I o ile ten cierpiał, o tyle tamten otrząsał się z niepokoju i trwogi; o ile ten łamał się i upadał, o tyle tamten podnosił się a sił nabierał. Lecz nie zbliżał się do druha swojego z pocieszeniem a miak osłodą, częściej tylko wspominał o ostatnich chwilach wojewody, o jego bogactwie i znaczeniu, jakie miał w Polszcze, o tej jasności, której znieść król jegomość nie mógł i dla tego blask jego zgasił, potęgę złamał i zgniótł.

Prawiąc tak, robił pewną przysługę Jaśkowi; rozjątrzając jednę ranę, drugą mniej boleśniejszą czynił. Im więcej go popychał do wykonania ślubu zemsty, tem coraz bardziej oddalał od progów domu pana miecznika. Jedynem przytuliskiem a oparciem dla rozbitej kasztelanica duszy — był Zakon, ten go przyjmie jako macierz rodzona, pomocy nie odmówi, złotem osypie, dostojeństwami obdarzy. I nic mu już nie ostaje, jeno tylko z niewdzięczną ojczyzną zerwać, wżdy nie druhów a miłych braci w niej spotkał, jeno zapomnienie i chłód.

— Tak... tak... — powtarzał Jaśko głosem, jak dzwon rozbity.

Nienawiść w sercu jego rosła do tych wszystkich, którzy bracią jego byli z ducha i krwi. Znienawidził niebo, które okrywało się nad nim chmurami płynącemi z gór karpackich; znienawidził ziemię, po której stąpał, jakby to ona rodzicielką jego nie była. Dźwięk mowy polskiej wydał mu się gryzącym jadem zaprawny, dwór królewski kadłubem jakiegoś potwora, który na Wawelu się rozciągnął, poto tylko, by jego boleści urągać i z jego słabości drwić. Wtedy, w oszalałej myśli swojej, ubierał się w płaszcz krzyżacki i na czele zastępów żelaznych rozbijał ten gród przeklęty. Słyszał, jak tron królewski walił się mieczem jego rąbany, słyszał w trumnicach ojców swych oddech lekki, że krzywd ich mściciel się znalazł. Jeno, gdy wzrok jego padł na bielejące wśród lip a modrzewi ściany dworu pana miecznika, gdy oczy zatrzymały się na tem pięterku, z którego przez okno wychyliła się ku niemu postać Helżbietki — wtedy tłumić ryk musiał w piersi, bo otwierały się rany wszystkie, a czoło uderzało o mur, bezsilne zaś ręce osuwały się po głazach twardych.

— Poto-żem cię poznał, ażebym stracić miał?... O, szczęście moje! o, moje szczęście — wołał, waląc się w mroku nocy u stóp tego wzgórza wawelskiego.

Pazik zdrętwiał, gdy nazajutrz, po onem widzeniu się z Helżbietką, Jaśka zobaczył. Zatrzymało się w piersi, zawżdy tak szybko bijące serce pacholęcia, gdy z ust Jaśkowych posłyszał słowa, znane już przedtem tak dobrze Wolfframowi. Słuchał ich w okamienieniu jakiemś, były ciężkie, okrutnie ciężkie, a spadały, jak grudy ziemi na wieko trumny drewnianej. Orlik czuł, że włos bujny, na głowie mu się podniósł, że w żyłach zatrzymała mu się krew, serce stanęło i uderzyć nie mogło.

Jaśko mówił mu o widmie wojewody, które nocy ubiegłej zjawiło się przed nim. Widmo pragnęło zemsty — ona słabował... dokonać jej musi. I prawił o nieuśmierzonej boleści swojej, a zdawało się, że się lubował w męce tej, w tem rozdrapywaniu ran serdecznych, w tem burzy własnej kołowaniu. Pazikowi się zdawało, widząc, jako się mienił i chwiał i bladł, że lada chwila ryk z piersi swej wyrzuci, a serce męki nie strzyma i pęknie. Ale nie!... Jaśko rękami własnemi trzewia targał i ni razu nie jęknął, stłumił krzyk każdy na zewnątrz się rwący. Wytrzymawszy ten ból, wszelki już cios inny wytrzyma... Dlatego krwawił się tak, ażeby potrzebnego hartu nabrać.

Skończył — zaległa cisza, pazik nie mówił nic, Jaśko oddychał ciężko.

— Rozumiesz mnie? — zapytał kasztelanic.

Pazik milczał.

— Ślub!... — odpowiedział Jaśko.

— Dwa śluby — odezwał się wtedy pazik.

Jaśko zatchnął się....

— Dwie męki — po chwili wyszeptał.

A pazik mówił dalej:

— Ślubowałeś umarłym i żywym... Radować chcesz prochy umarłych, a żywym serca zabijać. Prawżeś jest?...

— Nie mów tak! — zawołał Jaśko... — O prochach mówiłem, lecz ducha na myśli miałem. Zali nie żywie on nie czeka — nie cierpi?...

— A ten drugi duch w pana miecznika dworcu? — pazik rzucił... — Nie żywie? nie czeka? nie cierpi?

— Ubij mnie! — Jaśko zawołał.

W drzwiach stanął Wolffram.

Kasztelanic wypatrzył się na niego.

— Tamten...

— Był pierwszy — dokończył Krzyżak, jakby świadkiem rozmowy ich był.

Jaśko się podniósł.

— Tak!... — rzekł z mocą...

Wolffram za rękę go ujął i podtrzymując chwiejącego się, za drzwi z nim wyszedł.

Pazik chwilę patrzył za nimi, później, nie wiedząc może sam, co czyni, rękę wyciągnął i palce na strunach luteńki położył. I zadzwoniła pieśń, którą tak niedawno pod oknami Helżbietki śpiewał... Ciche, senne dźwięki dobiegły do ucha Jaśkowego...

— Stój!... — szepnął do Wolfframa kasztelanic, bledniejąc.

— Idź!... — odpowiedział Krzyżak.

I poszedł.

Zawiódł go Salzbach do pewnego przestronnego domostwa, przy Kanoniczej ulicy stojącego, w którem zatrzymywali się posłowie krain ościennych. Tym razem gościli w nim wysłańce krzyżackiego zakonu; dwie przestronne izbice zajmował sam Wielki komtur Otto z Bansdorfu, dwóch uzbrojonych knechtów wejścia strzegło, nikt obcy a nie idący do komtura przejść tędy nie mógł, a nawiedzało go ludzi dużo, przeważnie rycerze nacyi obcej, z którymi, tuż pod bokiem niemal królewskim, narady jakieś odbywał, a podejrzane konszachty miał. Z trzeciej izby, mniejszej od tych dwóch, w których mieszkał, tymczasowa kaplicę zrobił, z której rozlegały się nabożne pienia braci zakonnej i głos dzwonków mszalnych. Przechodnie pochylali głowy, dzwonienia te a pieśni słysząc, niejeden

krzyżem świętym piersi znaczył, a słodkiego Pana Jezusa chwaląc, szeptał pod nosem:

— Modlą się sobaki.

I łbem kręcąc, przechodził.

W onem domostwie elbląski i gdański komturowie się zatrzymali, jako też inni dostojnicy Zakonu, pomiędzy którymi był Henryk Kornelius Trottenberg, mąż znany z dzikości, człek serca okrutnego, lecz zarazem nieprzejednany wróg rozwiązłości wszelakiej. Dziki w obejściu się, surowy w obyczajach, nie pozwalał na swawolnictwo żadne; o kroków dziesięć niewiastę każdą omijał. niewolno było nikomu z rycerzy zakonnych do białogłowy zbliżyć się; więził i katował z pod onej subordynacyi wyłamujących się; sam Wielki Mistrz na baczeniu mieć się musiał, bo trwogę siał jednem spojrzeniem oka, łamał i gniótł sprzeniewierzających się ślubom zakonnym. Oddychano, gdy zgromadzenie opuszczał i wyruszał na czas dłuższy do krain zagranicznych. Odjeżdżał niespodziewanie, lecz i wracał niespodziewanie. Wtedy trwoga i strach i wielki lament grzeszników.

Z onymi to ludźmi zapoznał Wolffram Jaśka, do ich zgromadzenia wszedł młody Święca kasztelanic. Z wielką attencyą przyjął go Trottenberg. Wolfframowi winszował za łup Zakonowi zdobyty, a mówiąc o królu i ziemi polskiej nienawiścią ział i przedwczesne gromy na nich sprowadzał. A Jaśko słuchał — i nie napływała do twarzy mu krew; przed oczyma jego stała tylko wielka krzywda ojca i dziada; pod stopami swojemi czuł drżenie ich prochów niepomszczonych i we własnych myślach swych roił jako ich zbawca i mściciel.

— Nasz jesteś?

— Wasz — odpowiedział.

I ucałował krzyż podany przez Trottenberga.

Dnia tego nie mówił nic z pazikiem, nie chciał mówić. Łamał się z bólem, poświęcał szczęście własne dla spokoju prochów pradziadowskich.

A zaledwie świt błysnął i słońce nie otrząsło się jeszcze z rosy porannej, jak już sen pierzchnął z oczu Helżbietki. Nie rad powiek otwierać i zrywać się z pościeli ten, który przesłodkie mary snował na wrzecionie bujnej imaginacyi swojej; rozproszy je blask dzienny, życie rozwieje. Ale Helżbietka jak ptak wyfrunęła z ciepłego gniazdka swojego; po uśmiechu a jagodach zarumienionych znać było, że kołysały ją podczas snu marzenia złote, po oczach rozpromienionych a przyspieszonem biciu serca i ruchach z jakiemi altembasowe nakładała sandałki i w błękit porannych odziewała się szatek, znać było, że z pięknych snów do piękniejszego żywota spieszyła, że od czarów marzeń do czarów życia biegła. Na pierś jej falującą kładło się szczęście, na ustach koralowych płomiennym, żywym kwiatem wykwitało szczęście, spłynęło piosnką, zabrzmiało w pierwszych słowach pacierza, kazało ze schodów zbiedz, wpaść do komnaty rodzicielskiej i wstydem dziecinnym oblaną twarz ukryć na łonie macierzy.

— Matuś!....

I więcej nic, jeno oddech szybszy, jeno szybsze bicie dzwonka w piersi.

— A co ci jest córuś moja? dlaczego dychasz tak, a sercem robisz nieumiarkowanie?...

Pan miecznik uważnie spojrzał na dziewkę swoją, a ona pod tem spojrzeniem rodzica pokraśniała jak jagoda leśna i cicho wyszeptała:

— Nie patrzcie na mnie tak, tatulu, bo się wstydam.

Sam pan miecznik praktyk był w rzeczach onych i znał się na tych skromnisiach dziewiczych, uśmiechnął się, stołek przysunął bliżej córuchny swojej, siadł podle i przytulając do piersi głowinę jedynaczki, rzekł z ojcowską powagą:

— Przed księdzem a rodzicielami niemasz tajemnic żadnych.

Matka potwierdziła słowa ojcowskie — i zaczęła się spowiedź dziewczęcia, jedna z tych spowiedzi, jaka wypływa z czystych dusz anielskich.

Zaczęło się od Podkamienia, na scenę wyszła stara Sokula, noc Andrzejowa, wróżby i widzenia. Dziwowała się macierz zjawisku, lecz nie zaprzeczała widzeń prawdzie, pan miecznik głową poważnie kręcił, ale szeptał z przekonaniem szczerem:

— Bywać tak, bywa!....

Zastanowiła go jednak gorącość pocałunków ducha. Chrząknął, chciał coś rzec, może sprzeciwić się gorącej trochę imaginacyi dziewczyny, ale snać przypomniał sobie rzeczy różne ze starych ludzi opowiadań: wzdychania widm, otwieranie bram na wrzeciądze zamkniętych, pozostawianie śladów stóp libo rąk na przedmiotach różnych. Jakże teraz się sprzeciwić, jakże nie uwierzyć dziewczynie swojej?.... Więc mruczał:

— Bywać tak, bywa!....

Ależ dotąd o duchach była rzecz, o wróżbach sprawdzić się mających. Teraz nadeszła chwila urzeczywistnienia się mar tych i snów, owa noc słowicza, w której rozdzwoniły się struny lutni niewidzianej, w której pod blask księżycowy popłynęła pieśń miłosna, tajemniczy rycerz się zjawił i już nie jako duch zaklęcia szeptał, nie jako duch całował, nie jako duch miał przestąpić próg pana miecznika izby. Zatchnęła się Helżusia, pan Wojsław w piersi dech wstrzymał, a macierz cicho szepnęła:

— Jezusie miły!....

Sromając się a płomieniąc, trochę przez łzy, lecz więcej uśmiechniętemi usty, z drżeniem serca w kołatek zmienionem, opowiedziała Helżbietka wszystko, jako było onej nocy czarodziejskiej. Zjawił się rycerz umiłowany, powtórzył zaklęcia dawne, obiecał u państwa miecznikowstwa być dzisiaj i rodzicom się do stóp pokłonić. Zwał się Jaśko, a jako rodowe miano jego było, nie wiedziała nic o tem. Za wcześnie psy zaszczekały i w toporzyska brzęknęła straż.... Umknąć musiała — ale rycerz przyjdzie, niech tylko właściwa nadejdzie godzina. Mówiła o wszystkiem, jeno o pocałunkach powiedzieć przepomniała, a może już to domysłowi rodziców zostawiła, którzy przecie sami już wiedzieć powinni, że bez nich obejść się nie mogło. Ale pan miecznik chciał widzieć kropkę nad *i*, zapytał więc wręcz:

— Całował waćpannę?....

Zapłoniła się, a mać chcąc dziecko swoje bronić, rzekła:

— Ot, pytanie!... a jakżeby mogło inaczej być...

— Rozumie się — mruczał pan Wojsław — i deliberować zaczął.

Z opowiadań Helżbietki, z opisu postaci rycerza i stroju bogatego, wymiarkował pan miecznik, że rycerz zacnego rodu być musiał, miłowanie swoje świętym ślubem zapieczętować przyjdzie, pokłoni się, powie kto jest, a już o poczciwości jego ludzie powiedzą, przecie kraj cały, jako dom jeden wyglądał, w którym rodzona brać żyje, a zna się między sobą. Pomyślał tedy chwilę — wstał poważny i uroczysty, do serca ojcowskiego dziewkę umiłowaną przytulił, która się rozpłakała ze wzruszenia nadmiernego — i rzekł:

— A no, z utęsknieniem będę na gościa miłego czekał. Nieznane są drogi Opatrzności, jakiemi wiedzie nas, niemi nam iść, nie własnym rozumem się rządzić.

To mówiąc, wyszedł i starego Warsza do narady i pomocy wezwał, niewiasty zaś do uporządkowania domu się wzięły, by odświętnie wyglądał i niczem oczu oczekiwanego rycerza nie raził. Pytali pana Wojsława urzędnicy królewscy, na zamku mieszkający, kogo tak godnie podejmować zamierza, bo i co lepsze wino z piwnic wytoczyć kazał i znane gąsiory niem wypełnił, i sam w żupan paradny się odział, a i niewiasty jego wyglądają niepowszednio, szczególnie panna miecznikówna do szczerej zorzy dziś podobna, ozłoconej jakiemś słońcem dalekiem, idącem z błękitów, pociągającem w błękity.

Radość i drżenie pewne, połączone z gorączką oczekiwania, znać było na miecznikowstwie i pannie miecznikównie. Byle zastukały drzwi, drewniane zatrzeszczały schody, wnet pan Wojsław uroczystą postawę przybierał, jejmość przy czepcu coś moderowała, a pannie Helżbietce dech się zapierał w piersi, nie mogła zliczyć serca uderzeń, rumieńców utemperować.

Ale to drzwiami wiatr trącił, schody zaskrzypiały pod Warsza stopami.

Minęło południe, słońce pochyliło się ku stronie zachodniej — powolny zaczął zapadać zmierzch....

Oczekiwanego nie było....

Rozdęły się nozdrza pana miecznika gniewem stłumionym, miecznikowa z trwogą na córkę spojrzała — a ona w płacz.....

— Możeć to sen był, dziecino moja — tylko sen?...

— Nie, matusiu, tylkom może nie zrozumiała słów jego. Możeć rzekł mi: pojutrze przyjdę, a spragnione serce ukradło mu dzień jeden.

— Tak-ci musiało być — zawołała przekonana pani miecznikowa.

Pan Wojsław odetchnął lżej....

Uspokojeni słowami Helżbietki do snu się udali.

Długo pani matka nie wychodziła z izby na górze, długo pan ojciec po komnacie na dole chodził, czekając na powrót małżonki, rozpytując Warsza o różnych szczegółach bytności dziewki swojej w Podkamieniu. Ale Warsz ramionami wzruszał, to samo robił i Sobek zagabywany.

Miecznikowa wróciła.

— No i co? co?....

— Pewnikiem jutro przybędzie. Spragnione serce ukradło mu dzień jeden...

— „Ojcze nasz"‥‥ — zaczął pan Wojsław.

— Zdrowaś Marya"‥‥ — zaszeptały usta miecznikowej....

— „Panie, bądź miłościw grzesznej duszy mojej" — kończył swój pacierz miecznik.

— „A niech się stanie wedle prawej świętej woli twojej"‥‥ — słowami temi skończyła modlitwę swoją Wojsławowa.

Światło przygasło.

Cisza....

Helżbietka okno otwarła, choć matka mówiła: nie otwieraj; Helżbietka spać nie mogła, choć matka mówiła: śpij!....

Miesiąc zeszedł, zaśpiewały słowiki....

Nagle posłyszała brzęk strun....

Później odezwało się ciche, trzykrotne klaśnięcie.

Helżbietka wionęła jak wiatr... Przez schody, przez sień błyskawica jakaś przebiegła — i zgasła....

Pan miecznik głowę senną z pościeli uniósł, nasłuchiwał chwilkę, a potem do małżonki się zwrócił:

— Śpisz, acani?....

— Półśnienie już miałam, lecz coś mnie rozbudziło.

— Słyszałaś?....

Półtrwożnym głosem jakimś pytanie to pan miecznik rzucił.... Podniosła się więc szybko i, jakby przypominając coś sobie, rzekła:

— Niby krzyk.

Po chwili zaś dodała:

— Przedtem dźwięk lutni, który mnie ukołysał....

Nagle pan miecznik na równe nogi się zerwał...

W ciszy nocnej głuchy, stłumiony, ale wyraźny rozległ się tentent kopyt.... i miecza śpiewny szczęk.

— Jezu! — zawołała pani miecznikowa — a pan Wojsław w drzwi runął.

Cichy i spokojny przed chwilą dworzec napełnił się gwarem tajemniczym i ruchem. Pani miecznikowa słyszała szybki chód męża, jak biegł, jak drzwi nie otwierał, lecz rozwalał, jak pękały zawiasy, jak dygotały, potrącone echem, zbudzone ze snu, modrzewiowe ściany dworzyszcza. Wzdłuż i wszerz komnat wszystkich biegł klekot jakiś, wzmagał się, rósł, przez schody trzeszczące się przesunął, dopadł babińca i na chwilę się zatrzymał w pokoju Helżbietki, skąd na dół runął, trwogą jakąś czy przerażeniem gnany.

Pani miecznikowa słyszała to wszystko, rozróżniała chód męża, stąpanie Warsza, ciche, niespokojne dreptanie służebnic, ale z trwogi onej i niepokoju nie mogła sprawy zdać sobie, choć przez jej mózg przesunęła się myśl pożaru, któremu uległo może miasto, może zamek królewski. Nasłuchiwała, modlitwy szepcąc, oczekując odgłosu dzwonu. Nie dzwon jednak do uszu jej doleciał, lecz krzyk męża. Wtedy wypadła na próg w bieliźnie i nocnym czepcu niewieścim.

Księżyc pełną falą zalewał podwórze, na którem zrazu nikogo dojrzeć nie mogła. Aż oto coś zamajaczyło, zaruchało się pomiędzy krzewami, gdzie była słabizna muru. To stał dwór cały, straż w halabardy zbrojna, pachołkowie i Warsz i Sobek i dziewki służebne i psy niespokojne, tam i sam biegając ze skomleniem i naszczekiwaniem groźnem. Wśród gromady onej mieszały się pytania niezrozumiałe, odpowiedzi ciemne.

— Krzewy złamane.

— Mur zwalony.

— To ci zbój jakiś a siłacz!....

— Warsz dostrzegł ślady stóp rycerskich.

— Sobek podków końskich.

— Jej-jej! — zalamentowały niewiasty.

Pani miecznikowa chciała podejść do tej gromady rozprawiającej cicho a urywanie, ale zabrakło jej sił. I tak schorzałą była, a teraz omroczyło ją przeczucie jakiegoś nieszczęścia i nogi skrępowało.

Głowę oparła o oddrzwia, rękami za ściany się chwytała, by ustać módz a na ziem nie osunąć się.

Na słabiźnie muru pan miecznik się ukazał. Czoło blade, włosy rozwiane miał. Służba rozstąpiła się przed nadchodzącym panem, który drżącemi palcami to piersi dotykał, to włos ze skroni odgarniał, to nieruchomie zatrzymywał przed oczyma swojemi, jakby wkładał w nie myśli duszę jego nurtujące, czekając rozwiązania zagadki, której pojąć ani rozwikłać nie umiał.

Wzrok jego padł na słaniającą się małżonkę.

Podbiegł — a ona mu się przelała przez ramię...

Ocucił ją w alkowie dopiero.

— Wiem.... i nie wiem — szepnęła na pół przytomnie. — Helżusia.... co?... Panie Jezu, zmiłuj się nad nami..

I wybuchnęła płaczem.

Płacz ulgę przynosi — teraz mogła słuchać opowieści męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).